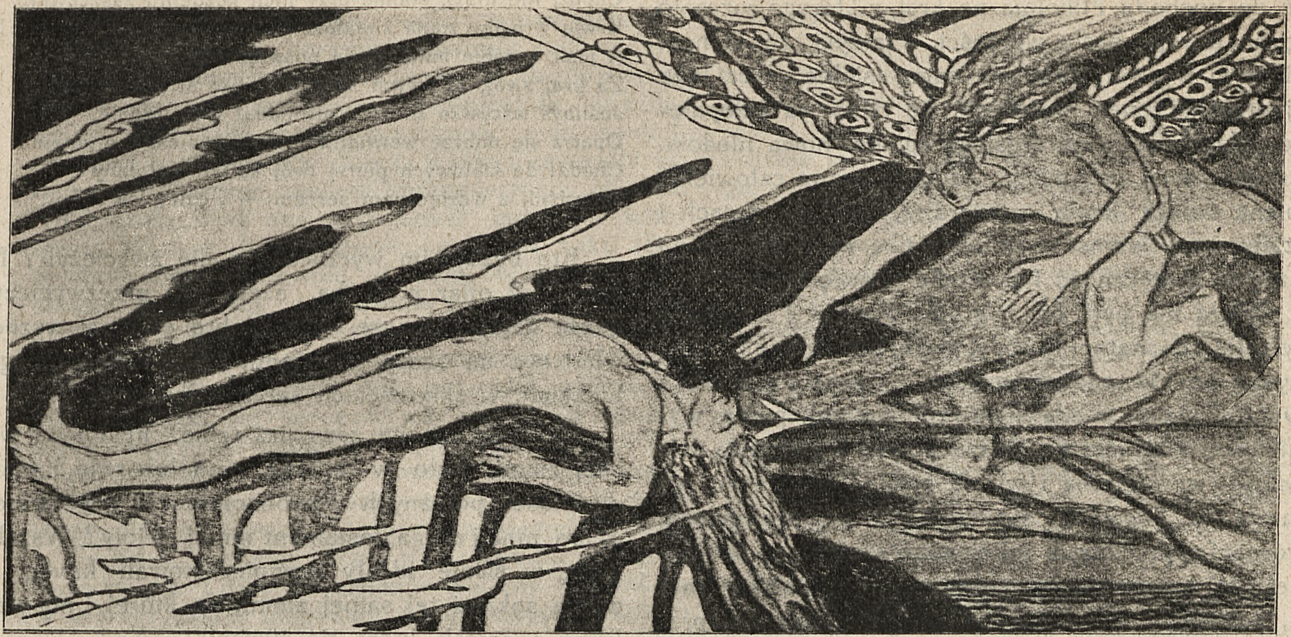
ROCZNIK II. Dnia 25. listopapa 1911. ZESZYT XLVIII.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

TREŚĆ: Dr. JUDYM: Dwudziesty dziewiąty listopada. M. LELIWA: Rewolucya listopadowa. BOLESŁAW LUBICZ: Orły (poezye). JULIUSZ KADEN: Grób Polski. JAN KLECZYŃSKI: Julek. GRABOWIEC: Czy naprawa błędów? BOLESŁAW LUBICZ: Listy z wygnania. ZYGMUNT KLINGER: Nowa partya. LIST STEFANA ŻEROMSKIEGO (echa rapperswilskie). SPRAWOZDANA. SILVA RERUM. Z RAPTULARZA.

DR. JUDYM.

DWUDZIESTY DZIEWIĄTY LISTOPADA.

Kto z żyjących dzisiaj, wychowanych w okresie zmateryalizowania i małoduszności, potrafi wżyć się w wielką epokę wyzwolenia uczuć, którą przeżywała najszlachetniejsza część społeczności europejskiej od chwili ogłoszenia „praw człowieka“ aż po zmiażdżenie Komuny paryskiej i zapanowanie na nowo brutalnej przemocy, zwycięstwa siły przed prawem? Wielkiej epoce zawdzięczamy najwyższe dobra, których jesteśmy uczestnikami: wolność osobistą, zrównanie stanów, szkołę publiczną, tolerancyę wyznaniową, — a jednak, jak daleko jesteśmy od niej uczuciami i wiarą w dobrą nadzieję?

W chwilach odświętnych, gdy wracamy do niej wspomnieniami, spostrzegamy z przerażeniem zubożenie uczuć, skarłowacenie ideałów, małość współczesnego pokolenia. Odczuwamy to szczególniej my, Polacy, którzy byliśmy *magna pars* wielkiej epoki, którzy w braterskim sojuszu z narodem francuskim byliśmy głosicielami dobrej nowiny, dla niej wylewaliśmy krew serdeczną na pobojowiskach Europy, którzy, niosąc wybawienie uciemiężonemu człowiekowi, chcieliśmy równocześnie wywalczyć dla siebie wydarte prawo do niepodległości narodowej.

Czasy tak niedalekie, a tak odległe! Pamięć lotów Farysowych, wstrzymanych dzikością najgorszych instynktów barbarzyństwa. Wspomnienie wiary w prawdę poznania, w miłość człowieka, w bezinteresowny czyn dobry, w braterstwo ludzkości! Czasy tak niedawne, iż prawie uwierzyć niepodobna, że na zwaliskach wielkich dążeń ciemność i obłuda, kłamstwo i nienawiść, pycha i samolubstwo zapanowały na nowo nad losami człowieka!

Rewolucya listopadowa była jednym z najpiękniejszych i najsmutniejszych zarazem epizodów wielkiej epoki. Polska stała się wówczas naprawdę Winkelridem narodów, rzuciła własny los, odsłoniła

własne piersi na szalę wypadków, ażeby nie dopuścić do pochodu Mikołaja na kraj, z którego rozeszło się na Europę hasło wolności. Marzyła, że czynem ofiarnym wyzwoli zarazem samą siebie, lecz było jej przeznaczonem poświęcić się tylko na całopalenie. Na ziemie nieszczęśliwe spadła nowa niedola. Ale cel został osiągnięty. Zdobyte prawa człowieka, oblane świeżą krwią, utwierdziły się w sercach i wzięły nowy wzrost na dalszą walkę, na niezachwianą wiarę w skuteczność i potrzebę poświęcenia.

Ofiara nie była bez nagrody. Podziw i uwielbienie całej szlachetnej Europy, pieśni pochwalne i dziękczynne poetów cudzoziemskich — poszły w orszaku tryumfalnym za niedawnymi żołnierzami, potem wygnańcami i tułaczami. Dusza polska pomnożyła dojrzałość wewnętrzną i wylała swoją obfitość na zewnątrz w bogatych strumieniach najpotężniejszej twórczości, przekazała pokoleniom następnym pokarm wiekuisty, utrzymujący nieśmiertelność polskiej myśli, polskiego bytowania, polskiego prawa do sprawiedliwości, wolności i niepodległości.

Cześć bohaterom, którzy dali znak dwudziestego dziewiątego listopada! Cześć krwi wylanej! Cześć mogiłom, które ziemię rodzoną użyźniły! Przez nich i w nich dopełnionym został święty obowiązek, pozostał niezniszczony testament, potwierdzoną została prawda uczucia, które wołać nie przestanie nawet w czasach najgorętszych o wolność i sprawiedliwość, dopóki one nie obloką się w kształty rzeczywistości.

Zatrzymaj się nad wielkiem pobojowiskiem rewolucyi listopadowej i zadumaj się nad tem, co dostrzeżesz:

„Zobacz, jak pośród trupów, co już robak wierci,
Wąsate twarze sobie winszują swej śmierci,
I nasępione czoła rozwidniają śmiechem,
Co w swym hucznym odgłosie — jakby gromu echem!
Chodź, nie drżyj, stanąć przy nich każdemu zaszczytnie,
Krwią wrogów zlana śmiałość tak bujnie w nich kwitnie!
A jeśli w tobie budzi życia poświęcenie
Za kraj swój, za swych ziomków tylko strachu drżenie,
Jeślibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie, —
Opatrz się dobrze wewnątrz — to zlękniesz się siebie;
Chodź! do stalowych piersi twój kaftan wełniany
Przyciśnij z wdzięcznem sercem — i całuj ich rany...“

Kto będzie im wyrzucał, że nie zwyciężyli? Ileż krwi, ileż ofiar potrzeba, ażeby zło przezwyciężyć! Jakże daleko jeszcze, nim dobro obejmie wszechwładztwo na obszarach ziemi, w tajnikach mózgów ludzkich, w skrytościach serca człowieczego!

Zło było nie na zewnątrz tylko, było i na własnej ziemi, było w reakcyi, samolubstwie i małoduszności potężnych współziomków. Czy dlatego ofiara mniej droga, testament mniej święty? Wszakże wiarę w swoje ideały przypieczętowali krwią, żywioną sokami tej samej ziemi, na której i my wzięliśmy początek, którą się żywimy.

O złych, o winowajcach, nie chcemy dzisiaj mówić, bo potykamy się z nimi i potykać musimy w walce codziennej. Pocóż słów obfitych, gdzie czynów nowych na codzień potrzeba!

Ofiary rewolucyi listopadowej wskazują nam — jak kompas — gdzie dobro, gdzie droga do cnoty. W naszych czasach małych częściej wracajmy do nich wspomnieniami, ażeby z duszy polskiej nie uronić tego, co jej skarbem najcenniejszym, ażeby stać niezłomnie przy ideałach, które każdego z nas, jako cząstkę narodu i cząstkę ludzkości, ożywiać powinny i umacniać i prowadzić ku nieugaszonej wierze w cele najświętsze, jakie ożywiały ludzi z pokolenia wielkiej epoki i bohaterów powstania listopadowego.

M. LELIWA.

REWOLUCYA LISTOPADOWA.

„I czemuż dotąd wszystek gmach, zburzony granatami Dybicza i Paszkiewicza, leży w rozwalinach? I czemuż po dziś dzień na tem rumowisku, jakim przynajmniej wawrzynem dla samego wstydu nie zakrytem, gorszycie cywilizacyę chrześcijańską wystawą takiej nędzy i takich łachmanów, takiej niemocy i takiego wyrzekania, jakby to dopiero wczoraj ojczyzna zgorzała?“

Mierosławski.

Niema rocznicy, którąby za każdym swoim nawrotem tak silnie wstrząsała u nas serca, myśli przygniatała takiem brzemieniem, jak właśnie rocznica rewolucyi listopadowej. Może i przez to, że „listopad dla Polaków niebezpieczna pora“, że to wedle wierzeń odwiecznych teraz właśnie „idą między żywych duchy“, pomiędzy przeszłością, pochowaną w mogiłach, a teraźniejszością żywą nowe zawierają się sojusze, zmartwychwstają pogrzebione uczucia zapału i gniewu i rozpaczy; może i przez to, że pora tu sama i obraz gajów naszych i pól nastraja nas do wysłuchania smutnej wymowy czasów minionych. Ale głównie z innej przyczyny Rocznica Listopadowa jest tą właśnie, która zapala do czynu i poczuciem winy dziejowej smaga i myśl polityczną — myśl o czynie zbiorowym — do pracy zmusza.

Oto wówczas — lat temu ośmdziesiąt jeden — ostatecznie los nasz się przeważył na stronę rozdarcia i niewoli. Wówczas była chwila jedyna w przeszłości naszej porozbiorowej, kiedy dźwignąć się byliśmy zdolni własną naszą mocą, własnym czynem wolność sobie wywalczyć. Insurekcya Ko-

ściuszkowska padła ofiarą przemocy bezwzględnej, ogromnej; można rzec śmiało, że winę naszego nieszczęścia w części tylko można w tym wypadku przypisać błędom naszym; zawiniła tu i nędzna polityka gabinetu wiedeńskiego i niemiłosierny, ciasny egoizm Francuzów i niedołęstwo Turków; bo w roku 1794 naród powinność swą spełnił, wydobył z siebie moc nową, wielką; zawiodły go rachuby polityczne, zawiedli sprzymierzeńcy. W roku 1813 pociągnęła nas w przepaść ogromna katastrofa Wielkiej Armii napoleońskiej: W roku 1848 byliśmy znękani niewolą, złamani orgiami prześladowań, bezbronni, a złudzenia nasze były złudzeniami całej Europy demokratycznej. W roku 1863 fatalność zmusiła nas do wystąpienia w chwili, gdy brak przygotowań nie pozwalał jeszcze na przeobrażenie się stronnictwa Ruchu w armię, a powstania w regularną wojnę rewolucyjną. Ale w roku 1830—1 byliśmy panami naszego kraju, władzę w swojem mieliśmy ręku, mieliśmy pięćdziesiąt tysięcy wojska starego, a najprzedniejszego w Europie, mieliśmy przez parę tygodni możność owładnięcia Litwy i wcielenia pułków litewskich w szeregi nasze, mogliśmy, amalgamując świeżego rekruta ze starym żołnierzem, stworzyć z łatwością armię stu kilkudziesięciotysięczną, mogliśmy mieć zakładnikiem i narzędziem w ręku naszem carskiego brata. „Nigdy — pisał Mochnacki — nie była Polska tak potężną, jak 29 Listopada". Tem straszniejszą jest zagadka naszej klęski.

Krytyka rewolucyi listopadowej, dokonana przez pisarzy demokratycznych, klęskę dwom przedewszystkiem przypisała grzechom: poniechaniu akcyi zaczepnej w kierunku Litwy i Rusi i haniebnemu zlekceważeniu i pogrzebaniu wielkiej kwestyi socyalnej: sprawy uwłaszczenia chłopów. Nie były to przecież przyczyny klęski wojennej: mimo wszelkie korzyści, postradane przez zamknięcie się w granicach ośmiu województw nadwiślańskich, mimo stłumiony z brutalnem lekceważeniem zapał ofiarny ludu i zbrodnicze upieranie się przy pańszczyźnie, dziesiątki razy mogliśmy przy woli do zwycięstwa zwycięzcami ostać się w polu i — refren tragiczny pamiętników Prądzyńskiego — Polska byłaby niepodległą. Ale zarówno poniechanie ofensywy, jak grzechy Sejmu rewolucyjnego, popełnione w sprawie włościańskiej, jak występne dąsy Chłopickiego i niegodziwe niedołęstwo Skrzyneckiego — to wszystko były właśnie objawy nieuchronnej klęski. A źródłem ich wspólnem był fakt, że garstka bohaterów, która rewolucyi dokonała w noc 29 listopada 1830 r., nie chciała, nie umiała, nie mogła woli swojej uczynić wolą narodu, nie dała Polsce, wciągniętej w bój, ani rządu, ani wodza. Rząd — organ woli zbiorowej — obcym był sprawie rewolucyjnej. Wodzowie byli jej wrogami. Sprawa rewolucyi była przegraną już rankiem 30 listopada, a tem samem już wówczas zadecydowane były losy narodu. W noc listopadową stało się już właściwie wszystko. Z dziejów tej nocy poszło już wszystko dalsze, jako następstwo nieuchronne, wszystko aż do szturmu Warszawy i haniebnego pochodu pod Brodnicą. Tak pojął dzieje tej nocy Stanisław Wyspiański i wskrzesił je geniuszem wieszczym. Ale toż samo mówi surowa prawda historyczna. Kto waży się budzić naród do walki, winien umieć i chcieć wziąć na swe barki odpowiedzialność za losy narodu, wziąć w ręce swoje ster rozpoczętej sprawy.

Któż winić się odważy ten zastęp bohaterski młodych oficerów, literatów, studentów, że parci koniecznością nieuchronną, rzucili się z bagnetem na koszary rosyjskiej gwardyi konnej i na siedzibę tyrana, że woleli pociągnąć za sobą naród w przyszłość krwawą i groźną, niż widzieć, jak wojsko polskie idzie na Zachód, na bój z bratnimi Belgami i Francuzami, jak zalewa kraj obce żołdactwo, jak resztka praw narodowych igraszką się staje w ręku despoty? Oni — rewolucyjni patryoci — garstką byli bez oparcia w masach ludowych, bez politycznej przeszłości, zdolni rzucić się pierwsi w odmęt dziejowy, ale niezdolni do tego, aby przeprowadzić swoją wolę pośród swoich. Spełnili swą powinność. Jeden, Mochnacki ręką sięgnie po ster wydarzeń i zmiecie go fala „nierozumu socyalnego", nieświadomości publicznej. Z głównych bohaterów jednego — Wysockiego — czeka twarda służba liniowa, a później, gdy w kościółku na Woli ranny w ręce wroga się dostanie, najstraszniejsze na Syberyi katusze. Drugi, Zaliwski, pójdzie do lasu robić partyzantkę, później gorycz swoją wylewać w sporach emigracyjnych, później spiskować i w kajdanach austryackich latami wyczekiwać śmierci wybawczej. Byli poprzednikami. Byli przednim zastępem stającej się demokracyi polskiej, na stracenie rzuconym. Po latach ośmdziesięciu czyn ich jeszcze porywa świetnością młodzieńczego zapału, swoją prędkością błyskawicy, swoją potęgą gromu; nas, pogrążonych w szarzyźnie obecnego narodowego bytowania, budzi na żywot nowy.

Odmieniły się czasy. Dłoń odwykła od łoża karabinu. Oko mgłą zachodzi, szukając wroga. Rdza przysiadła bagnety. Myśl oswojona z niewolą. Zapomniany czas, kiedy naród był państwem, a chciał być państwem niepodległem. Odmieniło się jedno: masy ludowe ze sprawą polską przymierze zawarły na wieczność. Nie garstka bohaterskiej młodzieży przedstawicielką jest dzisiaj demokracyi walczącej, ale cały obóz potężny ludu pracującego. Klęski doznane, grzechy i błędy przywódców, zbrodnicza lekkomyślność partyjek, wyrzekających się sztandaru wolnej ojczyzny, nie wydrą z gleby ludowej dawnego posiewu rewolucyjnego, coraz nowym wschodzącego plonem. To, co utajone, na jaw wydobywać, wypowiadać to, co drzemie w głębiach uczucia, co rozpierzchłe organizować, co od broni odwykłe oswajać z orężem, w masach, walczących o swe wyzwolenie społeczne, stwarzać fundament dla przyszłej niepodległości — oto zadania dzisiejsze patryotyzmu rewolucyjnego, a w pierwszym rzędzie zadania młodzieży. Ożywiają się dzisiaj i nowej nabierają treści stare słowa Mierosławskiego, wyrzeczone do młodego pokolenia na obczyźnie, do uczniów paryskich uczelni: „...Najmłodsi z was etymologowie, a wiedzą, że wyraz cywilizacya nie od żadnej antrepryzy do oświetlania bruków czy olejem, czy gazem, czy elektrycznością pochodzi, ale dobitnie od wyrazu civis! Więc wyprawieni jesteście przez pokutujące pokolenia Ojczyzny do tych starych grodów i książnic Zachodu, nie dla wykradzenia mu procederów katoptrycznych, fabrycznych, szacherskich, czy retorycznych, jakiemi dziś dla gawronów warszawskich słynie, ale dla odgrzebania tego już zaschłego w jego księgarskich zielnikach

bohaterskiego obywatelstwa, tej roli milionowej, tej wszechtwórczej wulkaniczności, co cztery już temu pokolenia wydobyły go na świat nowy z barbaryi feudalnej, jakby genezyjny miecz archanioła z pochwy chaosu. Tego mi szukajcie, w bezdziennej już tego wszystkiego legendzie; ale z kłamstw brylantowych zaskrzepłej nad nią saletry, o młodzi chemicy moi, tyle mi tylko tej saletry zabierzcie do Polski, ile jej nam potrzeba do nabicia miny powstańczej!“

BOLESŁAW LUBICZ.

ORŁY.

Otwórzcie klatki orłom w noc jesienną, głuchą,
Gdy wicher zimny wyje i smaga bez końca;
Niech olbrzym-ptak się zmierzy z wichru zawieruchą,
Szybując w mroku nocy do jutrzni, do słońca.

Otwórzcie klatki orłom. Rozbijcie wierzeje,
Co twórczy rozpęd wiążą w czeluściach niewoli
A błysną purpurowe, dawnych lat nadzieje,
A błyśnie kwiat wolności na spękanej roli.

Otwórzcie klatki orłom. Odwalcie głaz stary, —
Zerwijcie z piersi ludu pokrywy grobowe,
A piersią swoją dźwignie ciemnych gór wiszary,
A dłonią stare kształty przekuje na nowe.

Otwórzcie klatki orłom w noc ciemną i głuchą,
Usuńcie kamień z Polski, co jej pierś przygniata
A orły znów się zmierzą z wichru zawieruchą,
A Polska znów się zerwie i dźwignie pół świata.

Hej orły polskie!... Od pługa, od sochy
Szliście w czerwone zorze, w płonący świt złoty,
Z ust dumnie milczących nie leciał śmiech płochy,
Na czołach: — wieczne piętno tajonej tęsknoty.

Hej orły, orły!... Z szarego zagonu
Wzięliście moc granitu, ofiary niezłomność, —
Mając w sercu zbratane i męstwo i skromność,
Szliście pożary niecić i bić się do zgonu.

Hej, orły polskie!... aż na świata kraniec
Nieśliście czyn rycerski, nawet w błędzie szczery:
Pod Moskwą szliście wzniecać wolności kaganiec,
Krwią własną szliście rosić góry Somo-Sierry.

Hej orły, orły!... Dzisiaj inne czasy!...
Rdzewieje myśl o Polsce. Złamane są miecze!
Dziś szarość dni codziennych za nami się wlecze,
Choć carska dłoń nas dławi i pruskie obcasy!...

* * *

Otwórzcie klatki orłom w noc jesienną, głuchą,
Zerwijcie z piersi ciężar hańbiącej martwoty
A orły znów się zmierzą z burzy zawieruchą,
A lud podźwignie Polskę i wznieci świt złoty.

JULIUSZ KADEN.

GRÓB POLSKI.

W ujarzmionej ziemi — głuchość przewiewa nią kamienna — świdry przemocy wywierciły studnie głębokie.

Studnie głębokie, — otchłanie bohaterstwa, — przepaściste oczodoły, — czarne źrenice, któremi rozdarty kraj z bezbrzeżną tęsknotą poziera w nieubłagane niebo niewoli.

Okrutny urodzaj posypał mrowiem tych oczu rozciętą ziemię.

Patrzą, tężą się niw polskich gwiazdy wnętrzne — groby poległych.

Mnoży się wciąż ich niepojęta tajemnica.

Na dnie tych grobów, — na dnie puharów spełnionego męstwa, — na dnie tych oczu ślepotą zapału daleko widnych, na dnie świętej, czarnej od pomst tęsknoty — płomieni się straszny ból ofiarowanego życia i wspłonąć gotowe zawsze zarzewie Sprawy.

W dzień skruchy, gdy w sądnej szali myśl waży żal Minionego, przychodzą ludzie na groby sznurami świateł łkać. Ulewę pożogi leją na rzewną pierś cmentarza, póki jesienne, zwiędłe lico nieba nie zakwitnie wstydliwym rumieńcem łuny.

Wiatr śpiewa grobom rozbieżny krzyż czterech stron świata. Ludzie im szepczą swój krzyż męki.

Lecz groby — źrenice niestrudzone, żadnego

przebaczenia ciężarem niedomknięte, groby ostatni czyn tej ziemi, rycerzy uśmiech ostatni, groby — dźwignie wiecznego powstania, niepodległą dumą bodą żelazne niebo niewoli.

Nie dbają o pamiętanie.

Nie ima się ich śmierć — przechera.

Wieść pamiętliwa czuwa nad nimi. Schyliła prastare skronie i żywi otwarte groby nawrotnym piorunem nieomylnych ust.

Nie ima się śmierć tych, co aż śmiercią życia szukali.

Nie tu lęgnie się grób.

W tych ciemnych wzierniach hasa wicher zemsty. Niezłomnie kroczy drogami sprawiedliwości, nieubłagany, bieży ścieżkami sądu.

Nie tu lęgnie się grób.

Sprzedażny pan, co, nim życie wyrzęził, przed tobą rozpaczy chłopska na oba kolana runął, bezbronny chłop, którego pierś złocone gwiazdy ostróg zaborczych żrąc krwawym szryftem — odpisały, żyd, żołnierz — polski, wstęgą śmiertelnego pokotu szańce Warszawy przewiązujący — wyhodowali ogień porywczy, ogień, co srogim bezustankiem buzuje wciąż pod czarną piersią grobów. W tym ogniu spłonęła na zawsze wina minionych grzechów.

Nie tu lęgnie się grób.

Lecz, by się czerw podłości na zawsze gnieździł w polskiej duszy, by pamięć grzechu po wszystkie czasy trawiła pamięć cnót, by się stał naród matołkiem prądów, śmieciem w przerębli czasów wirującem — porwał przeciwnik bykowca w garść. Czarną plwocinkę ołowiu w pletnię zaszył i pluje nią w twarz narodu. Niestrudzenie i pracowicie, długo i głucho, od ręki i z ręki, wprost i naodlew, wszerz, wzdłuż, z odskokiem, z zadęciem, jednym ciągiem, stokrotnym cięgiem bije i tłucze, tłucze i kuje w zbroczoną mordę, co kiedyś twarzą jasności była. Bije w niewolne ciało polskie, póki się ciało słowem nie stanie, póki się ścierwo zszarpane nie stanie słowem gnuśnego wyrzutu.

I tu —

Póki wyrzut nie wzbierze jadem kłamliwej odpowiedzialności

— lęgnie się grób.

Na kołyseczce z knutów, na plecionce z bykowca, spowinięta kańczugiem, kołysze się i hoduje nowa przytomność polska. —

Kłamliwa odpowiedzialność minionej winy śpi na robaczywem wnętrzu polskiego serca.

Nie powstaje.

Śni obłudny sen taniego męczeństwa.

Kłamliwa odpowiedzialność minionej winy więdnie w opłotkach bezecnej niemocy. Kurzem wysokoniebnym wyleciały z niej już dawno krzyki sprzeciwu. Śni sen bezczelny, gorszy, niż męka, lichszy, niż nadzieja w niczem nieumocniona, śni nadzieją zapomnienia.

Budowy życia żałobą pożarnego dymu nie oplata. Zabiegów życia ognistym kwiatem wybuchu nie wieńczy.

Zaśby.

Pokut bełkocze w skopanych trzewiach ziemi. Wargi żyjących przegryzła konszachtem kosmopolitycznego stręczycielstwa. Śrubą taniej obiecanki przywierciła ręce do zwołującej świstawki najeźdźczego harapa. Pętami głodu, pępowiną łakomstwa opętała myśli, że opętane błądzą niesamowicie, na niepodległej twarzy ojców pomarłych stają i pieją stronom świata i wschodzącej chęci młodych pokoleń kraczą: Upamiętanie.

Upamiętaj się ty wściekłe polskie szaleństwo! Żeś się wzbiło nad ziemie i morza krwawem skrzydłem wolności, żeś się rozniosło po miastach, wsiach, lasach, bagnach i uroczyskach, żeś cały świat przeszyło wątkiem tajnej zmowy, zmową wyswobodzenia, żeś się wdało miotającym zaczynem buntu między pergaminową pleśń szachrów, żeś się patrzeć wstydziło, gdy kartę ziemi twej zbir na pasy darł, by cię w tych pasach zadusił — upamiętaj się.

Upamiętaj się ty, na własnej ziemi znajda nikczemny!

Że plugawa pięść sołdata prała twych dziadów w szanowne lica, że wysokie czoło twych ojców-powstańców ocierało zad kozackiego kłusaka, że serce matki twojej oficer słowem jednem straszniej, niż gnojem, nadziewał, że łzy jej trzepał z munduru, jak kurz przydrożny! Że dźwięk ostróg Wicekróla Polskiego, Gubernatora dzwonił rzeszom żebrzącym na Podniesienie, iż nicem padały przed strasznym ołtarzem — butem zaborczym — ustatkuj się!

Że ci wrażym podstępem charknął wróg w zamierzoną poprawę twą, że ci ostatnią skruchę twej duszy z za pazuchy wraz z mięsem wyszarpnął, że się tą skruchą na łonie twoim sam uwłaszczył, — skradzione uwłaszczenie ciskając chłopu, że twoje dzieci pogrobowce brał i na kraj świata, chłostą, brudne, w niewoli sparszywiałe gnał, by nowych jańczarów z nich poczynić — przekonaj się.

Upamiętaj się, przekonaj, ustatkuj się!

Cudna mądrość twych wieszczów, serca proroków twych, ognistym granatem wróżby u wrogich stóp pękające, w niestrudzonem poszukiwaniu odmiany znalazły ci ziele upojne, lek kojący — krzywdę polską! Byś krzywdą własną rażony zmienił twe oczy w krynicę piorunów, by łzy twoje krew siały w ziemię, by słowo twoje stało się pociskiem śmierci, a myśl niezdobytą redutą buntu.

Ale lenistwo twoje strawiło ten lek święty, trutkę z niego czyniąc złowróżbną.

Pożywasz karczemnie z krzywdy polskiej, chlejesz ją na postojach tchórzostwa, żłopiesz w korycie narodowych zaprzaństw, ssiesz z niej gorycz durzącą, zbudzony ze snu hecą sumienia.

I tu —

Kołyszesz krzywdą własne dzieci, pieścisz w nich pajęczynę tego słowa. Ugniotłeś pajęczynę pospołu z chlebem, którego ci ziemia wyssana już szczędzi. Słowem i chlebem zalepiasz rany pamięci.

— tu lęgnie się grób.

Wymięsiłeś, wygniotłeś z krzywdy polskiej bałwana niemocy, małpę pokory. Gra ci ta małpa, w domino dwuznacznej ekonomii odziana, tęczową muzykę. Chlupie ten niedorodek zabawą męczeństw w macicy narodowego odszczepieństwa.

Na tron Przeszłości, na tron, zżygany strugą złota hańbiącego, na tron, zbłocony pocałunkami ugody, któremuś rozpieczętować chciał rękę, w wytrych podstępu zbrojną — posadziłeś motyla niezwykłego — krzywdę twoją.

Odwłok aksamitny, piękniejszy, niż żupan najpiękniejszy, kałduni i syci dawnych żupanów wystawność syta. Skrzydła zgodliwości atłasowej, cudniejsze, niż wyloty kontusza najcudniejsze, rają ci nowe, targu lichego: „kochajmy się". Zdrada od-

wiecznej pamięci przyprawiła motylowi rożki piękniejsze, niż te czaple kity, któreś kupował za tłusty pieniądz Rozbioru.

Tak oto szlachcic wielobarwny w tęczowego motyla przemieniony, zachłysnął poświatą Krzywdy robaczywe wnętrze polskiego serca. Tak oto wymaścił miodem ustępliwości nową Przytomność polską na kołyseczce z knutów na sprężnej plecionce z bykowca wylulaną.

Tu, — by nie runęło w nich żywemi oczami czarnych grobów niezłomne Przeznaczenie Ojczyzny — sypią dół Niepamięci. Już brzegi dołu obmurowali winą, której ich uczy bat wciąż świszczący.

Już kładą płytę.

I tu

Zaś płyta — dołu odrzwia straszliwe, — to obcas wroga, gwoździmi przemocy nabijany.

I tu

Gwoździe przemocy — ślepe gwiazdy polskiej niewoli, — dyktują przytomności, spowitej kańczugiem, nowy cyrograf.

— *lęgnie się grób.*

JAN KLECZYŃSKI. 22)

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY.

— Kogo pani woła?! prawie krzyknął Julek zdziwiony.

— Jakto kogo wołam? — Maro! Maro!

Julka olśniła nagle błyskawica.

— Tak pani nazywa panią Martę Borczyńską?

— Tak. To pan nie wiedział?

— Nie... Ale to dziwne...

— Czemu?

— Tę nazwę już słyszałem. Czy ona należała do...

— Należy do tej pory. A skąd pan wie?

Julek już chciał opowiedzieć, co o Marze wczoraj mówiono, ale wstrzymała go obecność Teci.

— Później pani opowiem.

— Ach, domyślam się. Niech mi pan wierzy, że ona te sprawy ciężko przecierpiała.

— I może dlatego teraz...

— Nie... chociaż zapewne... bardzo być może... Zresztą, nie mówmy o tem. — Maro! Maro! — Hop! hop!

Julek i Tecia wołali znów Antka i Mani i gdy wreszcie im zdaleka odpowiedziano, zawrócili w stronę domu.

Szli teraz w milczeniu dość długo. Spieszyli się dosyć. Raptem usłyszeli głos pani Marty, która mówiła gdzieś niedaleko swobodnie, z nutką smutnej jakiejś rubasznej wesołości.

— Przecież ja panu mówiłam, że pana nie kocham.

— Tak, ale męża pani też nie kocha — odpowiedział nerwowy, ironiczny, cichy głos Wapowicza.

— Aa — co do tego, to nigdy panu...

Tu powiał wiatr i zagłuszył dalsze słowa szumem drzew.

Na Julka i Czesławę spadło to tak niespodzianie, że w pierwszej chwili nie śmieli się słowem odezwać.

Julek odwrócił się w przeciwną stronę od głosów i krzyknął, jak mógł najsilniej.

— Hop, hop!!

— Hop, hop! — odpowiedziała natychmiast Marta i po chwili wyłoniły się z drzew dwie ciemne sylwetki.

— To trudno! — doszło jeszcze uszu Julka stanowcze słowo Marty, a potem ironiczny śmiech Wapowicza i jakieś jego zjadliwe, ciche wyrazy.

* * *

Wracali w milczeniu. Julek nie myślał o niczem, było mu w duszy cicho, jakby pusto, ale dziwna to była pustka — jak bezmiar, w który dusza waha się wpłynąć, choćby to było tak łatwo! Czuł tylko, że musi iść przy Czesławie. Gdy ona oddalała się na chwilę, albo zaczynała z Tecią, lub Marą jakąś obojętną rozmowę — do której zresztą nikt nie miał chęci — doznawał niepokoju, aż go ściskało w gardle. Przechodziło to natychmiast, skoro Czesława zwracała się do niego, lub tylko szła obok. To ostatnie było nawet najmilsze. Wtedy ogarniał go błogi spokój. Nie chciał nawet, żeby co mówiła, szczególniej do niego. Kłujące w oczy światło, w którego krąg weszli, skoro znaleźli się przed werandą dworu, powitał ze złością i smutkiem i natychmiast ogarniało go rozdrażnienie, którego nie mógł opanować przez cały wieczór. Drażniło go wszystko i Wapowicz, i Mara, i zamyślenie Teci, i dowcipy Antka, wypowiadane przy kolacyi na smutno, i grzeczne uśmiechy stryjenki i nawet panna Czesława, której swobodny głos wydał mu się kilka razy nienaturalny, czy też zupełnie obojętny, w każdym razie nieodpowiedni. I sam sobą się denerwował. Przywitał się ze stryjem jakoś za obojętnie, prawie, że bez słowa i nie dobrze wiedział, co stryj do niego mówił, choć czuł, że się szczerze ucieszył z jego przyjazdu. Chętnie by uciekł z tej kolacyi, przy której wszyscy siedzieli bez humoru, tylko Wapowicz dowodził coś, czego Julek na razie nie słyszał.

Chwilami wściekłość go ogarniała na to, że siadł przy Czesławie — choć to się jakoś zrobiło samo przez się. Chętnie by nie patrzał wcale na nią, ale nie mógł. Od czasu do czasu musiał zwracać oczy w jej stronę i wtedy kipiało mu w piersi, doznawał jakiegoś strachu, czy co? Nie mówił do niej wcale. Każde poruszenie jej bolało go. Jej biała, pełna i silna ręka ciągle podsuwała mu się pod oczy i wydawała mu się stokroć bielszą od obrusu, raziła oczy, sama świeciła. Doznawał ulgi, gdy usuwała się pod stół, choć wtedy oczy jego nie miały na co patrzeć i wpijały się w talerz, albo latały wolne i bezmyślne po obecnych. Gdy ręka wracała na stoł, oczy traciły wolność, stawały się złe, ale — może tak lepiej?

Na razie nic nie jadł, sama propozycya jedzenia wydała mu się głupią i obraźliwą, ale gdy spo-

strzegł, że to zwraca uwagę, zaczął jeść i z oburzeniem spostrzegł, że był głodny, jak wilk. To go napełniło pogardą do samego siebie tak dalece, że jadł za trzech. Doszło do tego, że każdy nowy kawałek kaczki, upieczonej po wiejsku z nadzianiem z jabłek wzbudzał w nim żądzę iście tragiczną. Szelma głód rozkazywał chwytać go na widelec, a idyotyczny jakiś wstyd na to nie pozwalał. Zwycięstwo pozostawało przy szatańskim apetycie Julka, który z obrzydzeniem spostrzegał, że kaczka jest znakomita, wprost nie mógł odmówić zapraszaniom stryjenki i nabierał z pachnącego dziczyzną półmiska nowe udko, skrzydełko, aż mu oczy się iskrzyły — z rozpaczy oczywiście.

— Julku — mleko, czy herbata! pyta uprzejma stryjenka.

— M... mleko — odpowiada Julek, starając się jaknajmilej uśmiechnąć: „Lepiej było się napić herbaty“ — pomyślał zupełnie idyotycznie.

Burzyło się w nim coraz bardziej — wściekało go to nawet, że złość jego mijała. Patrzał na jedzących z pogardą sytego żołądka i nadmiaru sił. Chciałby teraz mówić — ach — mówić bez przerwy — rzeczy okropne, przerażające, zjadliwe. Ta baba, sąsiadka, gruba jak... ha, ha! — pomyślał z odwagą rycerza, co rzuca się w morze wzburzone ratować tonących — gruba, jak Czesława — tak — dodawał z oburzeniem, które go bolało niewypowiedzianie — jak ona! — powtarzał śmielej, bo wiedział już, że to nieprawda — co ona plecie!

Istotnie gruba jejmość, kiwając się na krześle, opowiadała powoli skrzeczącym głosem coś niezwykłego..

— I moja pani — co pani powie — ta kobieta po czterech latach znów wyszła za mąż. A ja się tak nad nią litowałam! — Moja pani, co ja się nad nią napłakałam! Mówię jej — moja Geniu niechże Genia pomyśli, że jest Pan Bóg na niebie. Chrystus więcej cierpiał i święci pańscy i twoja patronka, święta Genowefa, bo ją kołem łamali — tak, moja pani, jej mówiłam — a ona nic, tylko zamknie się w pokoju męża i wpatruje się w te ubrania, co tam sobie porozwieszała. (C. d. n.)

GRABOWIEC.

CZY NAPRAWA BŁĘDÓW?

Wiedeń, 22. listopada.

Przed trzema dniami cesarz podpisał dekrety, powołujące w skład rządu drugiego ministra Polaka. W chwili obecnej Koło polskie reprezentowane jest w gabinecie przez dwóch swoich członków; jedyny klub parlamentarny, który już na zewnątrz zaznacza w ten sposób swój stosunek do rządu.

Należałoby w kilku przynajmniej słowach naszkicować przebieg ostatniego przesilenia, które przyniosło nominalne wzmocnienie stanowiska. Mimo licznych „telegramów“ i korespondencyi prasy codziennej, oświetlających wypadki na gorąco, zdaje się, że nie podano dotychczas prawdziwej genezy ostatniego przesilenia. Pobudki umiano tak zręcznie zawoalować, że hipotezy na temat ten nieliczne tylko popierają fakty.

Takim faktem jest przedewszystkiem artykuł „Neue Freie Presse“, która w numerze wtorkowym z 14. bm. pierwsza doniosła o zmianach, gotujących się w łonie gabinetu. Artykuł zapowiadał ewentualność objęcia teki skarbu przez Bilińskiego, a raczej przez p. Lea. Równocześnie ukazała się w piśmie tem informacya, w której „sfery wtajemniczone“ podały nazwisko barona Schenka, jako przypuszczalnego aspiranta do teki skarbu. Baron Schenk, prezydent senatu w Trybunale administracyjnym, uchodzi za Polaka. Nazwisko jego wymieniano tu poufnie już przed kilku miesiącami, jako prawdopodobnego następcę Hochenburgera; baron Schenk, jako „Polak“ i jako urzędnik, odpowiadałby wedle informacyj „sfer wtajemniczonych“ najbardziej biurokratycznemu charakterowi gabinetu Stürgkha.

Przepowiednie pisma wiedeńskiego co do spadkobiercy ministra skarbu Meyera nie sprawdziły się, natomiast potwierdziła się zasadnicza część wiadomości o opróżnieniu teki skarbu.

Na drugi dzień, w środę 15. bm. hr. Stürgkh oficyalnie zakomunikował prezesowi Koła swą decyzyę co do wymiany ministra finansów. Słychać, że nazwisko barona Schenka padło istotnie przy tej sposobności, ale słychać również, że osobę kandydata ze strony Koła z punktu odrzucono. Odpowiedź brzmiała: albo urzędnik, zażywający ufności Koła, *albo wprost jeden z członków Koła.*

Hrabiemu Stürgkhowi należy przyznać, że tym razem zachował się lojalnie, wyrażając gotowość dokonania zmian w porozumieniu z Kołem.

Chodzi obecnie, czy rozwiązanie do jakiego się skłonili szanowni przewódcy, odpowiadało parlamentarnym interesom Koła i politycznym interesom kraju.

Przedewszystkiem p. Wacław Zaleski, jako minister skarbu.

Usłużna fama uczyniła p. Wacława od dawna dzieckiem cudownem. Już w kołysce robił z kodeksów wszelakich kroniki. W miarę jak podrastał, talent potężniał. W końcu jako szef sekcyi w ministerstwie rolnictwa uczyniony ministem krajowym, sięgnął po mandat poselski, a potem wciąż utrzymywany na powierzchni, przechodził różnorakie przesilenia gabinetowe cało. Tu i ówdzie powie-

rzano mu ponadto kierownictwo teki kolejowej, czy rolniczej; wszak buraki i kartofle wożą kolejami.

Ale teraz p. Zaleski zaakceptował tekę skarbu. Przed swoimi, w Kole, zapewniał, że niema ochoty po temu, że zdecyduje się co najwięcej na prowizoryczne objęcie kierownictwa tej teki, — ale poza plecami Koła, sfery niemieckie były należycie poinformowane i zapewnione, że Zaleski niezawodnie przyjmie nowe stanowisko.

Godzi się wobec tych wszystkich faktów zapytać, czy to przyjęcie chyłkiem teki skarbu w obecnej chwili było odpowiednie i pożyteczne.

Wiemy, że budżet państwa kuleje od lat szeregu. Wzrastające nieustannie zapotrzebowanie nie da się pokryć z dochodów normalnych. Równowagę w preliminarzu utrzymać się dało li tylko ścieśnieniem i skreśleniem najgwałtowniejszych potrzeb cywilizacyjnych. Zapobiedz złemu możnaby li tylko przez stworzenie nowych źródeł dochodowych, albo przez zaciąganie długów.

Ani nadzwyczajny praktyk, ani nadzwyczajny teoretyk fiskalizmu, ani Biliński, ani Meyer, nie potrafili z przyczyn setnych wydostać nowych dochodów dla państwa. Wszystkie plany, programy i przedłożenia finansowe, w braku większości silnej, a rządowi oddanej, szły do kosza. Kolejno.

Austrya stoi wobec problemu bezradnie.

Czyż p. Zaleski znalazł różdżkę czarodziejską?

Wybaczy szanowny minister skarbu, że podamy w wątpliwość jego talenty w tej mierze. Znamy tylko służące, — nie służących-ministrów — do wszystkiego.

Gdyby p. Zaleski nie był posłem i członkiem Koła, wolnoby mu było się kompromitować. Niepowodzenie, odniesione w tym właśnie charakterze, odbija się wszakże na Kole i wtrąca reprezentacyę naszą w położenie niejasne. Interesy kraju wielokrotnie już ucierpiały pod wpływem „mocarstwowych względów“ naszych ministrów polskich.

Jeżeli więc nie drogą normalnego wzbogacenia budżetu, to chyba zapomocą długów i pożyczek chce p. Zaleski — mimo oficyalnego zaprzeczenia w komisyi — ratować finanse państwa. Czy firma Koła nadaje się do takiej gospodarki, pozostawiam ocenie czytelników.

Gdyby wszakże nie zachodziły te wszystkie obawy natury technicznej, wątpliwości wyrażone przezemnie przed dwoma tygodniami, nie straciły dotąd waloru.

Jak przedtem, tak i nadal hrabia Stürgkh nie oczyścił się z podejrzenia, że jest ukrytym zwolennikiem rządów urzędniczych. Na posiedzeniu komisyi budżetowej, odbytem wczoraj, hr. Stürgkh wygłosił rzecz, chcącą odgonić widmo § 14-tego. Nastąpiło to w sposób potwierdzający obawy. Hrabia Stürgkh powtórzył raz jeszcze obietnice, przepełnione restrykcyami myślowemi i niedopowiedzeniami. Z mowy jego można wysnuć ponownie wniosek pozytywny, że chętnie użyje § 14-go, jeżeli parlament nie sfolguje.

A co wtedy?

Czy istotnie pp. Zaleski i Długosz znajdą odwagę do uchylenia się od następstw swej przynależności do gabinetu? Czy będą poprostu mogli oprzeć się „koniecznościom wyższorzędnym“, które w duchu polityki Koła przemawiać będą za wypiciem kielicha jadu absolutystycznego?

Do tego przyjść może; tem grozi polska parlamentaryzacya gabinetu...

A wreszcie.

Przed dwoma tygodniami Koło uroczyście uchwaliło rezolucyę, żądającą pełnego udziału w gabinecie — w chwili odpowiedniej.

Zapytuję.

Wobec tego, że parlamentarny udział w rządzie nie może być kaprysem, lecz wynikiem układu względów ogólno-politycznych, zapytuję, czy zaszedł najdrobniejszy fakt, któryby usprawiedliwiał podobną zmianę frontu po dniach dziesięciu?

Czy naprawdę zaszła już chwila stosowna?

Zachodzi usprawiedliwiona obawa, że polityka Koła w ostatnich tygodniach uległa jakiejś nerwowości, która fatalnie się odbić może na sprawach naszych!

BOLESŁAW LUBICZ.

LISTY Z ZESŁANIA.

(Ciąg dalszy).

W takich to warunkach śród osiedleńców zaczęły się tworzyć grupy t. zw. „anarchistów“, podłożem dla tworzenia się których były — pomimo tej nazwy — nie tyle te czy inne zasady teoretycznego anarchizmu, ile długotrwały ferment śród zesłańców, wynikły na gruncie nieprawdopodobnie ciężkich warunków. W niektórych gminach nastąpił formalny rozłam na „anarchistów“ i „nieanarchistów“, czyli „burżujów“, z których pierwsi, zaopatrzywszy się w broń, zaczęli dokonywać napadów na bogatych kupców i władze policyjne. Ferment wciąż się szerzył. Doszło do tego, że zarzewie buntu ogarnęło szeroką połać kraju.

Zgromadziwszy odpowiednią ilość broni, „anarchiści“ poszli wreszcie śmiałym otwartym marszem w głąb kraju, mając zamiar zdobyć powiatowe miasto, zrabować kilku bogatszych kupców, a potem przedrzeć się do Wschodniej Syberyi. Wobec powszechnego głodu i wprost rozpaczliwej sytuacyi w jakiej się znajdowali zesłańcy — głoszone przez „anarchistów“ hasła buntu i rewolucyi socyalnej łatwo mogły zdobyć posłuch i zapoczątkować większe zaburzenia w całej Syberyi. Zrozumiał to rząd i wysłał na gwałt wojsko. „Anarchiści“ tymczasem zdobyli rzeczywiście powiatowe miasto, splądrowali i zdemolowali urzędy gminne, „ekspropriowali“ paru kupców i myśleli już o przedarciu się poza granice ogarniętej grozą „Turuchanki“. Gdzieś w pustym stepie dogoniło jednak rebeliantów wojsko i nastąpiło starcie. Zbieranina oręża „anarchistów“ i brak wprawy

z ich strony do skoordynowanych działań wojskowych zdecydowały o losie bitwy. Jednolitość broni i dyscyplina tchórzliwego rosyjskiego żołnierza — zwyciężyły. Powstańcy ponieśli porażkę. „Rewolucya socyalna“ została stłumioną. Nastąpił okres dzikich represyi. Wziętych do niewoli skazano na śmierć; prócz tego rozpoczęto dochodzenie śledcze i sądowe skierowane względem całej masy osób, które udziału w opisywanych zajściach nie brały. W całym Turuchańskim kraju wprowadzono stan wojenny.

* * *

Znamienną jest również ewolucya, jaka zaszła ostatnimi czasy w usposobieniu miejscowej ludności, odnośnie do zesłańców. Wspomieliśmy już o tem, omawiając zajścia, które się wydarzyły w kraju Turuchańskim. Otóż to samo w mniejszym czy większym stopniu spotyka się niemal we wszystkich miejscach zesłania Rosyi. Dawna przychylność, życzliwość i sympatya topnieją coraz szybciej i, obecnie, coraz częściej spotykać się dają objawy niezadowolenia, lub wprost nieukrywanej niechęci. Co prawda, i dawniej wygnańcy mieli do czynienia z takimi objawami. Szczególniej dotyczyło to t. zw. inoplemieńców lub inowierców, przedewszystkim zaś Polaków, którym nawet rewolucyoniści rosyjscy zarzucali niejednokrotnie dumę, zamkniętość w sobie i jakąś niezrozumiałą dla nich swoistość i odrębność, która była wypływem odmiennej kultury i odmiennych losów polskiego narodu. Oto co pisał o tem w swoim czasie Tokarzewski:

„Kazań, stolica niegdyś chanstwa tegoż nazwiska, miasto niezbyt obszerne, ale bardzo porządne, posiada uniwersytet.—Studenci tegoż uniwersytetu, mijając nasze kibitki, lżyli nas najwstrętniejszemi wyrazami. Udawaliśmy, że nie rozumiemy tych wymyślań, tem wstrętniejszych i boleśniejszych, że pochodziły od intelligentów (?), od przyszłych siewców cywilizacyi i nauki w olbrzymiem imperium rosyjskiem. Wreszcie jeden ze studentów pokazał nam język, — daliśmy mu huczne brawo. — W Kazaniu jest też fabryka knutów, owej śruby Archimedesa, na której opiera się maszyna biurokratyczna...“*) Tak opisuje Szymon Tokarzewski stosunek kazańskiej ludności do katorżników polskich. Bądź co bądź — z innych monografii, a nawet z tych samych, cytowanych przed chwilą, „Pamiętników“ Tokarz, widzimy, że wszędzie, gdzie ludność stykała się bezpośrednio z wygnańcami i miała możność ich poznać bliżej, dawne uprzedzenia padały i ustępowały miejsca nieraz prawdziwej i głębokiej życzliwości. Przy zetknięciu się z zesłańcami — Rosyanami nierównie łatwiej jeszcze padały uprzedzenia ludności, wypływające z carosławnego pokostu i indeferentyzmu przekonań. Osobiste zetknięcie się z ludźmi o wysokiej przeważnie intelligencyi i wykształceniu, o wysokim poziomie etycznym kaptowało zazwyczaj w stosunkowo krótkim czasie — jeżeli już nie przekonania, to przynajmniej osobiste sympatye miejscowej ludności.

Co się stało obecnie, że sympatye te zaczęły tak radykalnie się odwracać? Czy zwiększył się fanatyzm religijny, szowinizm narodowy, lub carosławie rosyjskiego chłopa, Jakuta, Burjata, albo zgoła Eskimosa? Chyba nie... Nic nam o tem nie mówi. Raczej przeciwnie... Mieliśmy aż nadto dowodów (wypadki 1905—7 r., „duma“), że kresy rosyjskie, służące przez dziesiątki lat miejscem wygnania, nie grzeszą zbytkiem carosławia i że są znacznie postępowsze i opozycyjniejsze od rdzennej Rosyi. Więc co? Oto na ewolucyę tę złożyło się kilka przyczyn. Wymienimy tu najważniejsze. Pierwszą — jest n a d m i a r zesłańców a co za tem idzie, nadwyrężenie ekonomicznej równowagi i ustalonych form życia, przez nagromadzenie przewyższającej ekonomiczną siłę kraju ilości zesłańców. Ilość zesłańców, jak już o tem wspominaliśmy, nieraz przewyższa ilość pierwotnych mieszkańców, czyli że zwiększa liczbę mieszkańców danej gminy, lub okręgu o 100, lub więcej %. Zrozumieć łatwo, że takie nagromadzenie nowych przybyszów uczynić musiało istną rewolucyę. Co zaś może najgorsza, że przybysze ci w znacnej swojej części to element słaby ekonomicznie, nie wnoszący, lub mało wnoszący do kraju pieniędzy, podnoszący natomiast niezmiernie ceny artykułów spożywczych i wogóle skalę życia danej miejscowości; staje się co prawda bardzo często źródłem wyzysku dla miejscowej ludności (wspominają o tem prawie wszystkie listy z wygnania) — nie może jednak nigdy zostać źródłem polepszenia materyalnego jej bytu — ze słabości ekonomicznej i nędzy wygnańców korzystają przeważnie li tylko pojedyńcze jednostki: kupcy, „kułacy“ i t. p. — staje natomiast prawie zawsze jako niebezpieczny współzawodnik biedniejszych, ofiarując na rynku pracy wysiłek swoich mięśni i swe przeważnie wyższe zdolności.

Wyzyskiwany nie bywa nigdy lubiany przez wyzyskiwacza, — może być tylko tolerowany; konkurent — bywa stale i zawsze nienawidzony. Cóż zatem dziwnego, że zesłańcy, stając prawie zawsze w tych dwoch postaciach, nie cieszą się sympatyą i życzliwością ludzi, z którymi wbrew ich woli zetknął ich los, a raczej bezprawna i dzika kara, wymierzana na nich przeważnie za niepopełnione winy przez rosyjski rząd. Taką jest główna przyczyna tej ewolucyi, o której mówimy. Nie znaczy to jednak, żeby nie było innych. Jest druga przyczyna, niemniej ważna, o którejbyśmy próżno chcieli zamilczeć. Jest to niedające się już dzisiaj zaprzeczyć obniżenie ideowego, etycznego i umysłowego poziomu „wysyłki“, będącego zawsze w odwrotnym stosunku do ilości zsyłanych zesłańców.

Dawna „wysyłka“, na którą się składały przeważnie najbardziej uświadomione politycznie i najbardziej ideowe jednostki w społeczeństwie — już nie egzystuje. Nastąpił 1905 rok a z nim tak szerokie rozlanie się fermentu rewolucyjnego, że do kategoryi osób „niebłagonadiożnych“ zaczęli się zaliczać raptownie i ci, których prawomyślność polityczna przedtem nigdy nie była kwestyonowaną. Całe zastępy ludzi najzupełniej lojalnych szły na wygnanie. Należenie do klas uprzywilejowanych nie zabezpieczało już od zarzutu nieprawomyślności.

W „Rataju“, w „fortach“, w cyrkułach, intelligent miejski spotykał się z chłopem, robotnik z kupcem, „proletaryusz“ z „burżujem“. Codziennie całe roty żołnierzy w asystencyi policyi i szpicli zatrzymywały całe tłumy ludzi na ulicy, rewidowały, sprawdzały paszporty i zapychały aresztowanymi więzienia. Zdarzało się, że w czasie takiej

*) Szymon Tokarzewski „Siedem lat katorgi“ str. 65—6.

„obławy", dokonywanej w śródmieściu, śród białego dnia, podczas największego ruchu przechodniów, — dobrych paręset osób zostawało pozbawionych wolności. Z tych ludzi następnie formowała się wysyłka. I oto zamiast dawnej śmietanki rewolucyjnej, wyszkolonej przeważnie twardą szkołą życia i przygotowanej do niemiłej perspektywy wygnania, szły całe setki i tysiące ludzi nieprzygotowanych, nie wyrobionych, bez dostatecznej dozy uświadomienia, poświęcenia, i moralnego hartu, mogących ochronić ich od niepotrzebnych załamań na twardej drodze zesłańca. Razem z jednostkami, które rzeczywiście brały udział w rewolucyjnym ruchu, poszli na banicyę z rodzinnego kraju i ci wszyscy, którzy wlekli się w jego ogonie i ci wreszcie, którzy nigdy na żywe oczy nie widzieli „proklamacyi", ani „bibuły" i ani na chwilę nie przestawali być prawowiernymi obywatelami rosyjskiego imperium. Tak było w Królestwie, — tak było w Rosyi. (C. d. n.)

ZYGMUNT KLINGER.

NOWA PARTYA.

OD REDAKCYI. Dokonane przed kilku tygodniami we Lwowie utworzenie „Zjednoczonej żydowskiej partyi socyalno-demokratycznej" jest faktem, nad którym społeczeństwo polskie nie mogło przejść i nie przeszło też w milczeniu do porządku dziennego. O ile bowiem P. P. S. D. musi być uważana za część składową tego społeczeństwa, złączoną z niem wspólnym ideałem niepodległościowym, o tyle nowy twór, wyrosły bądź co bądź na podłożu syonizmu, stawia się sam poza obrębem polskiej społeczności, staje się jej — jeśli nie wrogim, jak to, niestety, wykazały doświadczenia z „Bundem" w Królestwie — to co najmniej obcym i jako taki musi być traktowany.

Pomieszczając artykuł p. Zygmunta Klingera, „Życie" chętnie otworzy swoje łamy na dalszą w tej sprawie dyskusyę w charakterze wolnej trybuny nawet w tych wypadkach, gdy zapatrywania autora nie we wszystkiem będą się kryły z zapatrywaniami Redakcyi.

I.

Dnia 14-go i 15-go października obradował we Lwowie pierwszy kongres „Zjednoczonej żydowskiej partyi socyalno-demokratycznej".

Na arenie politycznej kraju jest to zjawisko nowe, omal że niespodziane, a w znaczeniu swem tak doniosłe, że jest obowiązkiem społeczeństwa bardzo poważnie się nad niem zastanowić, by w następstwie odpowiednie wobec niego zająć stanowisko. Boć chyba nikt nie weźmie poważnie w rachubę naiwnych enuncyacyi „jedynie narodowego" „Wschodu" i „Słowa polskiego", z których pierwszy dopatruje się w dokonanym fakcie nowej formy niewoli żydowskiej u „zaborczych Polaków", a drugie takiej że samej nowej formy niewoli polskiej u żydów.

Gdy jednak dla szerokiego ogółu społeczeństwa zjawisko to jest nowe i niespodziewane, zdążało ono w rzeczywistości ku ostatecznej, obecnej swojej krystalizacyi już od szeregu lat, bo prawie od roku 1897, przybierając w międzyczasie formy stopniowo coraz wyższe, zakres coraz obszerniejszy.

Gdy ze wzmożeniem się produkcyi kapitalistycznej w kraju propaganda socyalizmu zaczęła się coraz bardziej rozwijać i rozszerzać, okazało się wnet, że wśród ogółu proletaryatu miejskiego, proletaryat żydowski jest jakościowo i ilościowo czynnikiem zbyt poważnym, by nie dołożono wszelkich starań o zdobycie go dla myśli socyalistycznej, dla organizacyi partyjnej. I było to zadanie tem trudniejsze, ile że w te ciemne masy, schowane po zaułkach „ghetta", oddzielone od nas murem przesądów wyznaniowych i niezrozumiałego żargonu, trzeba było wnieść wraz z treścią nową, nową formę, słowo nowe, polskie słowo. Czego zaniedbały w Polsce wieki rządów „starszej braci", tego dokonać miał uświadomiony proletaryusz. Że jednak cel ten był do osiągnięcia tylko drogą systematycznego rozwoju, że ponadto, z powodu energicznie podjętej walki o powszechne prawo wyborcze, wyłoniła się potrzeba natychmiastowego, doraźnego porozumienia się z temi masami — stworzono w łonie P. P. S. D. sekcyę niejako dla spraw proletaryatu żydowskiego, która, będąc organiczną częścią polskiej partyi, miała tylko stworzyć pomost, ułatwiający przejście z „ghetta do śródmieścia, z Azyi do Europy, ze średniowiecza do wieku XX-go.

I byłoby owo zapóźno niestety w dziejach naszych poczęte dzieło szło powolnym, ale bezpiecznym krokiem naprzód, byłby proletaryat polski naprawił błąd przeszłości, byłby organizmowi narodowemu przysporzył nowych sił, przyczynił się do jego ujednolicenia, a masom żydowskim wynagrodził krzywdę wielowiekowego poniżenia, gdyby nie brutalna logika wypadków i historyi, która nie znając sentymentów, żąda wszędzie przezorności, a mści się za wszelkie zaniedbania i spóźnienia.

Bo oto w Europie dokonywała się, a raczej do zenitu dochodziła nowa przemiana. Kapitalizm, który, uporawszy się z ludami, szukał wytchnienia i pokoju, by się wzmocnić organicznie i pogłębić swe panowanie, dopiąwszy celu, począł w rozwoju swoim wchodzić zwolna w nową fazę i, jak to trafnie określa G. Eckstein, z przemysłowego stawał się finansowym, z pokojowego wojowniczym, chciwym nowych zaborów i panowania. Zarzuca głoszony dawniej wraz z „wolnym handlem" kosmopolityzm, tworzy granice celne już nie tylko gospodarcze, ale i duchowe, a ideologią jego: imperyalizm, wyższość rasy, nacyonalizm. Zabezpieczywszy sobie niepodzielne panowanie na rynku wewnętrznym, szuka rynków nowych, zagranicznych i w rydwan wojenny swoich potrzeb wprzęga ludy, niosąc przed nimi złudny, lecz lśniący sztandar „świętej sprawy narodowej". Sztucznie przez burżuazyę podżegana iskra nacyonalizmu, wkrótce z chyżością i siłą pożaru stepowego przebiega całą Europę, ogarnia wszystkie narody i, w popłoch wprawiając myśl spokojną, budzi wszędzie chaos i rozprzężenie. Skutki niedługo dały na się czekać. Znajdujemy je nawet tam, gdzieby się ich może najmniej spodziewać należało. Wszak nawet we Francyi do niedawna jeszcze pokutowała w szczerze rewolucyjnych głowach myśl o odwecie sedańskim. A cóż dopiero we wschodniej Europie, składającej się nie z państw narodo-

wych (Nationalstaate), lecz z państw narodowościowych (Nationalitätenstaate). Klasyczna pod tym względem Austrya jest od szeregu lat istnem piekłem, w którem szatan nacyonalizmu z nieszczęsnemi ofiarami swemi orgie wyprawia.

I gdy, dokoła szalała burza, gdy w imię interesów dynastyi i wielkiego kapitału z roku na rok zwiększano zbrojenia, gdy w imię „wielkomocarstwowej polityki państwa“ zwalano na narody brzemię niebywałych dotąd podatków, jedynie — zdawało się — uświadomiony i zorganizowany proletaryat, wpatrzony w ideał międzynarodowej solidarności, zwartą siłą kroczy naprzód, dając rękojmię zarazem, że rozpętane moce ujarzmi i do równowagi doprowadzi. Tam też, w zachodniej Europie nie zawiódł zupełnie pokładanych w nim nadziei. Jako dowód wystarczy chyba spowodowane jedynie interwencyą proletaryatu obniżenie temperatury w kwestyi angielsko-niemieckiej, wystarczy zatarg marokkański, w którym — rzecz dotąd niebywała — obydwa rządy: francuski i niemiecki zwróciły się do międzynarodowego biura socyalistycznego z prośbą o interwencyę, — o pomoc.

Na wschodzie, gdzie zróżniczkowanie narodów jest większe, gdzie stopień ich rozwoju kulturalnego niższy, gdzie ciągle jeszcze odbywa się proces przesunięć, gdzie dotąd jeszcze nieustalone są właściwie formy i granice prawno-państwowego bytu narodów, gdzie wyłaniają się z tego zacięte spory i walki o słuszne „prawa narodowe“, o sprawiedliwy „stan posiadania“ — narody, ekonomicznie i organizacyjnie silniejsze, atakują słabsze. I tu charakterystyczne występuje zjawisko. Ofensywę narodów zaborczych prowadzi burżuazya, defensywę atakowanych proletaryat. Na Śląsku jedynym do niedawna obrońcą polskiego stanu posiadania przed zaborczością Czechów i Niemców, był polski proletaryat. Pod zaborem moskiewskim jedynym kontynuatorem tradycyi wolnościowej, zdecydowanym i ofiarnym obrońcą praw narodowych jest znowu tylko proletaryat. Bo wszak burżuazya pod różnemi wprawdzie postaciami, ciągle i stale jednak uprawia politykę ugodową, politykę ustępstw w sprawach ogólno-narodowych, w zamian za korzyści i przywileje klasowe. W Galicyi natomiast w walce polsko-ruskiej proletaryat polski czynnego udziału nie bierze, stając teoretycznie w enuncyacyach ze sympatyami swojemi raczej po stronie uprawnionych żądań narodu ruskiego.

Tak tedy uświadomiony i zorganizowany lud roboczy staje się powoli czynnikiem decydującym, instancyą, rozstrzygającą w zawikłaniach międzynarodowych Europy. Zjawisko to leży na linii nowoczesnego rozwoju społeczeństw i dlatego wnioskować stąd można, że w niedalekiej przyszłości lud obejmie rolę jedynie kierowniczą w tej kwestyi. Lecz z tego urasta dla niego nowy i doniosły obowiązek. Obowiązek kontrolowania wszelkich odruchów i ruchów narodowościowych i plemiennych w świetle stałych wartości kulturalnych i cywilizacyjnych, w świetle objektywnych prawd naukowych, w imię postępu ogólnoludzkiego, syntezy życia zbiorowego. Zadanie to niełatwe. W polityce codziennej taktyki wymaga często liczenia się z hasłami dnia i przystosowywania się do nich. I w tym kierunku krok jeden za daleko zrobiony może łatwo spowodować opuszczenie terenu objektywnej prawdy na korzyść jednostronnego patrzenia, subjektywnego zacietrzewienia; łatwo stracić z oczu ideał zbiorowy i hasła jednodniowe wziąć za prawdy wieczne. Odstraszającym tego przykładem są separatyści czescy, gdy natomiast budującem jest męstwo i nieustraszona odwaga centralistów, którzy mimo niepopularności swego stanowiska w kraju, mimo klęski okropnej, poniesionej przy wyborach, dla haseł nie poświęcają prawd, dla korzyści jutra nie poświęcają kultury wieków. Dziś nie w każdej jeszcze dziedzinie życia może być decydującym głos i wola zbiorowa mas. Stopień ich rozwoju kulturalnego jest wystarczający, wola ich może i winna się stać imperatywem, gdzie chodzi o dobra w dziedzinie życia materyalnego — za nizki jednak, gdzie chodzi o dobra duchowe.

Masa nie posiada uświadomionego kryteryum, kieruje się tylko instynktem samozachowawczym, który jest wskaźnikiem, wystarczającym jedynie w dziedzinie kultury materyalnej. Wodzowie są mózgiem mas. Ich obowiązkiem jest hamować instynkty, gdy chcą się stać dominantą, gdy prawo stanowienia i decyzyi przysługuje wyłącznie myśli świadomej i dalekowidzącej. (C. d. n.).

JESZCZE ECHA RAPPERSWILSKIE.

LIST STEFANA ŻEROMSKIEGO.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o pomieszczenie w „Życiu“ następującego wyjaśnienia:

W broszurze pułkownika Z. Miłkowskiego (T. T. Jeża, p. t. D o k u m e n t h i s t o r y c z n y, wydanej we Lwowie r. b., znajduje się na str. 12 i 13-ej opowiadanie o tem, jak to kustosz rapperswilski, p. Rużycki de Rosenwerth pokazywał autorowi broszury podczas zjazdu Rady muzealnej 1910 roku pewien mój list, pisany w r. 1895. Pułkownik Z. Miłkowski dodaje po tym opisie: „Słyszałem, że na listach jakichś opierano posądzenie Żeromskiego, posądzenie, akcentowane litościwem kiwaniem głowami w kółku batignolskiem i szeptane ustami niewieściemi“. Na str. 14-tej broszury jest znowu opis, jak na posiedzeniu rady muzealnej (1910 r.) „wywiązała się dyskusya, a w niej wylazł ów zagadkowo mi wręczony list Żeromskiego. Przerwał ją jednak Fr. R. G. wnioskiem zaniechania jej, przyjętym jednogłośnie“. Wreszcie na str. 20 znajduje się zdanie: „Nawet jasna sprawa listu Żeromskiego dla mnie, rzekomo „z Ber-

lina przez niewiadomo kogo w kopercie rekomendowanej przysłanego", dla niej — (to znaczy — dla Komisyi tegorocznej sprawdzającej poczynione zarzuty) — „jakoby „w biurze znalezionego", a do pozbawienia czci człowieka prawego służącego, prawdę przed nią osłaniała".

Podczas tegorocznego w Rapperswilu sądu p. Karczewski, były bibliotekarz muzealny, badany przez Komisyę co do 22 zarzutów przezeń postawionych publicznie, zaznaczył między innemi, że p. Rużycki posiada jakiś mój list, pisany do kogoś przed laty, oraz, że moje imię było w najniegodziwszy sposób szkalowane przez pewną damę, dziś już nieżyjącą.

Kiedy zażądałem od Komisyi natychmiastowego wyjaśnienia tej sprawy, z zeznań osób świadomych rzeczy okazało się, że plotki o mnie szerzyła wśród rapperswilskiego otoczenia właśnie owa dama, dziś już nieżyjąca. Takie orzeczenie wydrukowała komisya na str. 8 swego operatu: „Zarzut, że obmawiano byłych bibliotekarzy, okazał się plotką bez znaczenia, z którą, według wyraźnego oświadczenia samego p. Karczewskiego stawiającego ten zarzut, ani kustosz, ani członkowie zarządu nie mieli nic wspólnego". Po wyjaśnieniu wobec Komisyi tej sprawy, wobec śmierci plotkarki, oświadczyłem wówczas, że rzecz tę okrywam pogardą i puszczam w niepamięć. W drugiej kwestyi, jakim sposobem p. Rużycki de Rosenwerth może posiadać mój list, czy listy, pisane do „kogoś", — członkowie Komisyi wyjaśnili mi, na podstawie deklaracyi p. Rużyckiego, iż jakiś list mój był mu z Berlina w kopercie rekomendowanej przysłany. Wobec nawału ówczesnych spraw innego porządku dochodzenie prawdziwości tego oświadczenia p. Rużyckiego musiało być odsunięte. Natomiast p. Libicki, prezes Komisyi, podjął się osobiście natychmiast wydostać ów mój list, czy listy, od p. Rużyckiego i zaraz mnie je doręczyć, Jakoż p. Libicki niezwłocznie przyniósł i doręczył mi dwa listy, pierwszy od p. Józefa Okołowicza, dziś dyrektora Towarzystwa Emigracyjnego, wówczas studenta w Monachium, do mnie pisany, — drugi przezemnie pisany w r. 1895 do „niewiadomej osoby". Pierwszy z tych listów miał być jakoby znaleziony w szufladzie stołu, który był w mojem mieszkaniu, — drugi zaś list miał przysłać „ktoś z Berlina".

Myślę, że obiedwie te wersye nie są prawdziwe i że obadwa te listy znalazły się w ręku p. Rużyckiego de Rosenwerth w sposób daleko naturalniejszy, czyli perlustracyjny. Ponieważ — drugi z tych listów, pisany przezemnie do „niewiadomej osoby", pobudził szlachetnych rodaków, zgrupowanych w kółku batignolskiem, jak stwierdza to w swej broszurze pułk. Z. Miłkowski, do jakowegoś „posądzenia, akcentowanego litościwem kiwaniem głowami i szeptanego ustami niewieściemi",— muszę rzecz całą wyjaśnić publicznie. Oświadczam, że ów list pisany był przezemnie d. 17. września 1895 roku do doktora Henryka Dobrzyckiego, podówczas Prezesa Towarzystwa Lekarskiego w Warszawie, który, zwiedziwszy w owym czasie rapperswilskie Muzeum, napisał był znany „Memoryał" o niedorzecznościach układu muzealnego. (Memoryał ten znany jest czytelnikom „Życia", gdyż był w tem piśmie drukowany na początku roku bieżącego). Dr. Dobrzycki, po bytności w Rapperswilu, pojechał do Berlina dla badań i studyów w klinikach. Prosił mię listownie, ażeby mu zakomunikować, jaki też skutek i obrót weźmie jego „Memoryał", wystosowany do Rady Muzealnej, którego wręczeniem członkom Rady zajmowałem się na polecenie H. Bukowskiego. O tem właśnie pisałem mu w liście z d. 17. września 1895 r. Tymczasem dr. Dobrzycki wyjechał z Berlina wcześniej, niż list mój tam nadszedł, czy też list ten do rąk jego nie doszedł z innej przyczyny, dość, że list ten zwrócono, widocznie, do Rapperswilu na zasadzie pieczątki pocztowej, gdyż nie był to list rekomendowany. Na poczcie rapperswilskiej list z adresem polskim, zwrócono z powrotem, odniesiono oczywiście do muzeum polskiego. W muzeum wszelkie listy odbierał z poczty p. Rużycki de Rosenwerth. Adres na kopercie, wystosowany na imię dr. Henryka Dobrzyckiego, który p. Rużyckiemu dopiero co (w r. 1895) tyle gorącego sadła zalał za skórę, — pisany moją ręką, był zbyt wielką pokusą. W taki to sposób, zgoła nie sensacyjny, w zwykłej kopercie otrzymał p. Rużycki mój list do dra H. Dobrzyckiego pisany. Czy między faktem posiadania przez p. Rużyckiego owego listu, a „plotką bez znaczenia", rozsiewaną przez damę dziś już nieżyjącą, niema żadnego przyczynowego związku, czy „ani kustosz, ani członkowie zarządu nie mieli nic wspólnego" z ową plotką — niepodobna dziś rozstrzygnąć. Faktem jest to tylko, co stwierdza pułk. Z. Miłkowski w swej broszurze. Kiedy p. Rużycki w roku zeszłym pokazywał ów list pułkownikowi Z. Miłkowskiemu, ten zapytał:

— Co to? — patrząc Rużyckiemu w oczy.

Zmieszało go snadź patrzenie moje, prędko bo wiem mówił, wyrazy połykając:

— Nie wiem, kto przysłał mi list ten z Berlina w kopercie rekomendowanej.

— Gdzie koperta?

— A na co mi ona!

Nie czytając listu, oddałem mu go — oświadcza pułkownik Miłkowski.

Oto jest całkowity i dosłowny tekst listu, który był w posiadaniu p. Rużyckiego de Rosenwerth, a zwrócony mi został przez p. Libickiego:

„Szanowny Panie Profesorze!

Dziękuję najserdeczniej za obietnicę wysłania fotografii kartonów ś. p. Andriollego. Ozdobią one i wzbogacą zbiór Mickiewicza, który urządziłem własnoręcznie w obszerniejszym pokoju i którego katalog spisałem już całkowicie, wskutek czego z rękopisów i druków mogli już korzystać tacy „obrabiacze" Mickiewicza, jak prof. Nehring, prof. Tretiak, prof. Kallenbach. Fotografie zaraz nakleję wedle wskazówek Szanownego Pana i postaram się albo je umieścić w ozdobnej tece, albo może oprawić w ramy, — zależnie od tego, jak mi miejsca w pokoju mickiewiczowskim starczy. Zawsze jeszcze upraszać będę Szanownego Pana o „Pana Tadeusza", illustrowanego przez Andriollego, gdyż dotąd tego dzieła nie mamy.

Żałuję bardzo, że Szanowny Pan Doktór nie może teraz przybyć do R-wilu, gdyż obecność jego tutaj byłaby bardzo na czasie. List otwarty był... kijem wsadzonym w mrowisko. Najważniejszą jego zasługą było to, że oddzielił kozłów od baranów, ludzi porządnych od karyerowiczów w samej Ra-

dzię. Ta Rada rozdzieliła się teraz na dwie części, z których mniejsza (Dr. L(as)kowski, Jeż, H. Bukowski i może jeszcze hr. Brochocki) jest po stronie Szanownego Pana, większość zaś z p. Gałęzowskim na czele uważa list otwarty za „kabałę“ przeciwko Kustoszowi przez Szanownego Pana, Karłowicza, Z. Wasilewskiego i t. d. Na owej zasadzie, wystosował pan G(alę)zowski pierwszą, znakomitą odpowiedź.

Ta druga, o której Szanowny Pan wspomina, jest rezultatem zaciętej walki. List otwarty został na polecenie czcigodnego p. Bukowskiego odhektografowany w 14 egzemplarzach przezemnie i doręczony każdemu z członków Rady. Oprócz tego H. Bukowski ze swej strony wystosował do Rady list jak najusilniej popierający wywody memoryału, i owszem stawiający taką alternatywę: usunąć natychmiast Kustosza, zamianować tymczasowo kustoszem starego „emfizematyka“ i dać mu zdolnego i energicznego człowieka młodego na pomocnika, a wybrać takiego z pośród młodzieży kształcącej się zagranicą. List H. B(ukows)kiego odlitografowany w 14 również egzemplarzach, doręczyłem radnym, na zebranie przybyłym, razem z memoryałem. Niestety — przybyło owych radnych tylko 7. Z tych pięciu było stronników Gałęzowskiego. Dwu tylko (Dr. Laskowski i Jeż) popierało obadwa memoryały, reszta, naturalnie, przegłosowała owych opozycyonistów. Rezultatem owej walki było pozostawienie dawnego Kustosza statu quo i ogłoszenie w „Nowej Reformie“ t. z. broszury warszawskiej za „niesprawiedliwą“. Za „Reformą“ powtórzyły ową korespondencyę prawie wszystkie pisma. Z reform „możliwych“ zaprowadzono następujące:

1. Adres angielski ja własnoręcznie ułożyłem, według wskazówek Szanownego Pana w szafce oszklonej, (sprawionej przez H. Bukowskiego); 2. Portrety Giedroycia i innych z autografami ja również oczyściłem i umieściłem u wejścia do pokoju Mickiewicza; 3. Wyniesiono gipsową Wenus na dół; 4. Skasowano przy wejściu illustracye Pamiętników Paska i owe portki etnograficzne ze strzemiączkami. Innych reform żadnych dotąd niema. W październiku przyjedzie tutaj H. Bukowski i sporządzi wykaz falsyfikatów, absurdów i nadużyć Kustosza i znowu rozeszle radnym z kategorycznem żądaniem zmiany tego urzędnika, a następnie prawdopodobnie sam zostanie kustoszem z prawem dobierania sobie pomocników. Zarazem za bytnością tutaj H. B-i zupełnie urządzi muzeum: zmieni cały układ na zasadach prawie takich samych, jak to Szanowny Pan wskazywał, rozmieści zbiory i podzieli je na grupy: historyczną, artystyczną i t. d. Po tej wizycie obiecuję sobie bardzo wiele i dokładam wszelkich starań, ażeby już teraz przygotować plan owego urządzenia w całości. Całą jednak naprawę wewnętrzną przeprowadzi nie Gałęzowski, nie Rada, która popiera durnia, ale właśnie ten zacny H. B-i, który istotnie pismo Szanownego Pana uważał, jak własne i bronił go z największym zapałem. O rezultacie zabiegów jego nie omieszkam zawiadomić Szanownego Pana. Zaręczam, że obadwaj zajmiemy się sprawą naprawy w Muzeum w sposób jak najbardziej radykalny. Rezultat tego wszystkiego może być dopiero wiadomy około nowego roku. Obecnie pozostaje mi najusilniej prosić Szanownego Pana o zatrzymanie wiadomości w liście niniejszym zawartych w zupełnym sekrecie, gdyż wyjawienie ich mogłoby narazić nietylko mnie na tysiączne przykrości, ale także i cały interes, który mi tak leży na sercu. Gdyby cała akcya spełzła na niczem, rozbiwszy się o upór kliki, podtrzymującej Rużyckiego, wówczas zwróciłbym się do Szanownego Pana z prośbą o rozpatrzenie ponowne całej sprawy. Obecnie może się rzeczywiście uda Bukowskiemu zwyciężyć wszelkie przeszkody i zostać kustoszem. Raz jeszcze upraszając Szanownego Pana Doktora o zniszczenie tego listu i o zatrzymanie przy sobie podanych wiadomości, łączę wyrazy rzetelnego szacunku od siebie i żony.

Rapperswil 17. IX 95.

S. Żeromski.

Treść tego pisma aż nadto wyraźnie wskazuje, do kogo było wystosowane. Treść ta musiała być najzupełniej bezwzględnie zrozumiała, zarówno dla p. Rużyckiego de Rosenwerth, jak dla członków „Kółka batignolskiego“. Różne są metody walki o ideje i o przedmiot dobra publicznego, lecz te metody walki, jakich się chwyta „kółko batignolskie“ świadczą, że takie mu już tylko argumenty obronne zostały.

Paryż, dnia 20/XI 1911.

Stefan Żeromski.

SPRAWOZDANIA.

(M. K.). WŁODZIMIERZ ANDRZEJ DZWONKOWSKI: MŁODE LATA KOŚCIUSZKI. BIBL. WARSZ. 1911 T. IV str. 22—54. Z radością wypada nam zanotować pojawienie się w poważnym i pełnym treści miesięczniku warszawskim rozprawy p Dzwonkowskiego, która zdaje się zapowiadać daleko idący zwrot w badaniach nad Tadeuszem Kościuszką. Jak wiadomo bohater nasz narodowy, będący najszczytniejszym reprezentantem odradzającej się w drugiej połowie XVIII w. społeczności polskiej, a zarazem najdoskonalszem wcieleniem geniuszu rasowego Polaków w jego przejawach odwiecznych i nieodmiennych, będąc przedmiotem zdawkowego uwielbienia ogółu i tematem do setek mniej, lub więcej panegirycznych ramot, przecież nie doczekał się jeszcze tego zaszczytu niewątpliwie wyższego, ażeby dziesiątki i setki pracowników poświęciły się drobiazgowemu studyum jego życia, pracą dziesiątek lat odtworzyły jego duchową historyę, ze szczupłych strzępów materyału źródłowego odbudowały jego postać — nie symbol jego, nie posąg, przez legendę wypolerowany i wyzuty z życia, ale właśnie prawdziwego, żyjącego człowieka. Mają Francuzi swoją olbrzymią, pełną wagi życiowej, zawsze rozchwytywaną literaturę napoleońską; u nas współczesna literatura kościuszkowska jednego do niedawna miała reprezentanta w czcigodnym Tadeuszu Korzonie. Pisana z głębokim pietyzmem, bogata w materyał źródłowy, nieoceniona w przedstawieniu bitew, jego wielka biografia Naczelnika stworzyła potężną podwalinę do dalszych badań; nie była jednak i nie mogła być ani wyczerpującą, ani wszechstronną; nie mogła być ostatnim wyrazem nauki polskiej w tym względzie, właśnie bowiem od niej dopiero zaczyna się naukowe badanie życia i działań Kościuszki. I powiedzmy odrazu bez ogródek: od r. 1894, gdy pojawiło się pierwsze wydanie dzieła Korzona, dowiedzieliśmy się o Naczelniku bardzo wielu rzeczy, niezgodnych z tamtym pierwszym zarysem, niejednokrotnie zgoła nieoczekiwanych (ob.

przyczynki Kozłowskiego, Dembińskiego, Kraushara i inn.). W chwili, gdy to piszemy, dojrzewa dzieło prof. Askenazego o Napoleonie i Polsce, które niewątpliwie nowe rzuci światło na niejasną rolę Kościuszki w dobie Księstwa Warszawskiego; o tym specyalnie przedmiocie pisze dzieło osobne Skałkowski*); prof. Tokarz ogłasza kontynuacyę swych badań nad Warszawą insurekcyjną, przyczem ustala w sposób poniekąd niespodziewany linie wytyczne polityki kościuszkowskiej; Dzwonkowski kończy rozległe badania nad stosunkiem Francyi rewolucyjnej do powstania polskiego; zaczęte są studya nad stosunkiem insurekcyi do Austryi; staraniem Akademii, pod redakcyą Askenazego i Dzwonkowskiego, dojrzewa wielka publikacya: Akta rządu kościuszkowskiego. Obecnie rzucił p. Dzwonkowski garść nowych danych o tym okresie, w którym kształtował się charakter i myśl bohatera, o jego młodości. Rozprawa ta jest rewelacyą czegoś wręcz nieoczekiwanego. Na każdej karcie znajdujemy fakta najdonioślejsze dla historyi Kościuszki, dotąd zupełnie nieznane, wiążące się przedziwnie, żywą wypełniające treścią próżnię dotychczasowych biografii. Odrzucone podanie Paszkowskiego, przez Korzona rozwinięte, o wychowaniu Kościuszki w brzeskim konwikcie jezuickim; nie był światły republikanin wychowańcem synów Loyoli; „wykształcenie szkolne pobierał Kościuszko szczęśliwym trafem nie w zatęchłych murach jezuickich konwiktów, lecz pod ożywczym, humanitarnym kierunkiem światłych pijarów w głośnem swego czasu kolegium lubieszowskim, położonem opodal Pińska", co oprócz dawniejszych wzmianek drukowanych, przez prof. Korzona pominiętych, udokumentowane zostało ważnym dokumentem rękopiśmiennym, szesnastą księgą szkolną lubieszowską (rkp. Bibl. Jag.). U kadetów odbywał studya nie według późniejszego, po reformie wprowadzonego siedmioletniego kursu wychowawczego, wszedł bowiem do szkoły w r. 1765, na 5 lat przed reformą, gdy korpus kadetów był kursem jednorocznym, przysposabiającym dorastających młodzieńców do praktycznej służby frontowej; w nowy sposób przedstawione przeto zostały studya Kościuszki, ich zakres, ich charakter, ich przewodnicy, rola zaś jego w korpusie po r. 1766 przedstawiona nie jako ucznia, ale jako oficera i instruktora, służba poważna, wojskowa i nauczycielska, nie zaś, jak błędnie przyjmowano „koleżeńska, uczniowska". Nie „kadetem" był od r. 1766—1769, ale instruktorem u kadetów. W r. 1769, lub 1776, jak wiadomo, wyjechał Kościuszko na obczyznę, na dalsze studya. Nie było dotąd danych o zakresie tych studyów pięcioletnich. Suponował Korzon, że odbywały się one w szkole inżynierskiej w Mézieres; badania Dzwonkowskiego dały wynik bezwzględnie negatywny. Tem bardziej upada supozycya Korzona, co do studyów w paryskiej Ecole militaire, niższym zakładzie wojskowym dla dzieci arystokratycznych, pozbawionym wszelkiej wartości naukowej, a już zgoła niewłaściwej dla kapitana-wicebrygadyera warszawskiej szkoły rycerskiej. Drobiazgowe badania Dzwonkowskiego wykluczyły wręcz studya Kościuszki w jakiejkolwiek z francuskich szkół wojskowych; wyklucza również badacz służbę jego w francuskiej armii, w której znaleść by mógł jeno gorsze wzory, niż pod własną ojczystą strzechą. Lecz dowiadujemy się rzeczy nadzwyczaj ciekawej, dokumentowo dowiedzionej: Kościuszko stypendystą króla i Czartoryskiego, jako uczeń Akademii królewskiej dla malarstwa i rzeźby, w Akropolis sztuki europejskiej, w tym momencie z powołania artysta, ubocznie tylko zapewne i dorywczo uzupełniający swe wiadomości wojskowe! A obok tego dowiadujemy się rzeczy, którą *a priori* przypuszczać było wolno: Kościuszko „sposobił się przez pięć lat bycia swego w cudzych krajach wydoskonalić się, co do rządu trwałego z uszczęśliwieniem wszystkich należy, w ekonomice i w stanie żołnierskim", a studyując „ekonomikę" uczniem był twórcy jej, Turgota, studyować musiał Duponta de Nemours. Więc nie żołnierz tylko, dla którego szczupły traktacik Montecucculego, przestarzały już zresztą w dobie strategii fryderycyańskiej, główną stanowił lekturę, ale nieodrodny syn epoki Oświecenia, podległy pędowi nowoczesnemu do encyklopedyzmu, przyczem „płatała mu figle prawdziwa polska natura: żądna światła wiedzy i wszechstronnie ciekawa, ale dyletancka *par excellence*, mało skłonna do wyłączności i specyalizacyi". Przykuwające są karty ostatnie, na których przedstawił młody badacz tragiczne dzieje miłości Kościuszki do Ludwiki Sosnowskiej. Opierając się na wyjątkowo wiarygodnym ustępie arcyciekawych, acz bałamutnych i tendencyjnych pamiętników rękopiśmiennych Trembickiego, poparłych przez różne inne napomknienia i poszlaki, odnalazł Dzwonkowski więź wewnętrzną między tym „romansem" Kościuszki, a jego tułaczką dwukrotną: 1770—1774 i 1775—1784; co więcej: z doznanych w Polsce wstrząśnień duchowych wyniósł zapewne Kościuszko nietylko skłonność do melancholii, która powracać będzie już odtąd, a spotęguje się wskutek rany maciejowickiej i niewoli, lecz także ból przejmujący głębokiej osobistej krzywdy, którą zadali mu król razem z magnatem, którą zadał mu *ancien regime* starej Rzpltej; ta osobista niezabliźniona rana odzywać się będzie niezawodnie, gdy sprawa publiczna powoła Kościuszkę do walki z magnacką zdradą i anarchią — pomimo króla. Jest o tem wskazówka w ważnym memoryale Parandiera: *Tableau général de la Pologne*.

Rzecz Dzwonkowskiego napisana porywająco, z przenikliwością psychologiczną, piórem początkującem, ale już wytrawnem; jako studyum naukowe, wzorowa w dokładności swej, sumienności, pracowitości poszukiwań. Wolno żywić nadzieję, że po latach wyrośnie z tego pierwszego szkicowego rozdziału nowa biografia Tadeusza Kościuszki.

MIESES MATEUSZ: W KWESTYI NIENAWISCI RASOWEJ. Z dużym aparatem lektury, zużytkowanej niestety nie zawsze w sposób dokładny i ściśle naukowy, stara się autor udowodnić, że t. zw. kultura aryjska nie jest w wielkiej części wytworem Aryjczyków, lecz że składały się na nią różnorodne plemiona niearyjskie (n. p. Pelasgowie, Etruskowie i inni), a w szczególności i przedewszystkiem plemiona semickie. Temu tematowi poświęcono przeważną część książki, dopuszczając się niejednokrotnie dowolności i hypotetyczności. Ku końcowi zajęto się kwestyą antysemityzmu, który traktowano — naszem zdaniem — przeważnie słusznie, lubo z mocnym odcieniem jednostronności na korzyść semityzmu. We wnioskach postanowiono tezę, że antysemityzmu rasowego niema, że antysemityzm czerpie swe siły jedynie z antagonizmu religijnego.

Szczupłość miejsca nie pozwala na wykazanie dowolności i częstych sprzeczności w rozumowaniach p. Miesesa. Mimo to zresztą uważamy książkę za piękną i interesującą. W wielkiej zaś mierze godzimy się na ostateczne konkluzye książki. „Kultura powinna łączyć i bratać i maić liliami zgody ugory świata... Katolicyzm łączy Romanów z Niemcami katolickimi i Polakami, brata miedzianoskórego, Indyanina, z dumnym Hiszpanem. Kultura, będąca wyższym wyrazem ducha ludzkiego, powinna kontynuować to posłannictwo i je rozszerzyć i z ludzkości całej utworzyć jedną rodzinę z jednym pasterzem... Intelligentów wszystkich wyznań, narodów, szczepów, czy ras, powinien łączyć wspólny węzeł przyjaźni, wspólne dążenie ku wyższym ideałom, ku braterstwu, ku uszlachetnieniu typu ludzkości, ku nadczłowieczeństwu (czy nie za dużo? czy nie dość: ku człowieczeństwu?!)".

Czy tylko p. Mieses nie żąda naraz za wiele, czy uprzytomnił sobie należycie drogi do tego celu wiodące, czy niedocenianiem zasług Aryjczyków, przejaskrawianiem zaś hypotetycznych zasług Niearyjczyków, nie stanął w sprzeczności z tematem, który się starał uzasadnić, czy rzecz nareszcie nie wypadła zanadto po dziennikarsku?

Przegląd czasopism.

KRYTYKA za listopad przynosi w części I-szej szereg interesujących artykułów. K. Stefańskiego: „Koniec legendy" rozważa wcale ciekawie znaczenie „narodowej demokracyi" w Królestwie; St. Posner podaje sylwetkę Lloyda Georgea, jednego z najwybitniejszych demokratycznych polityków burżuazyjnych, którego mowy parlamentarne i inne powinny stać się *vademecum* działaczy demokratycznych; J. Waga rozpatruje w dalszym ciągu poglądy lewicowca polskiego, Tyt. Filipowicza itd. W części literackiej pomieszczono doborowe, jak zwykle, rozprawy, utwory oryginalne i przekłady: Waśkowskiego, M. Sobeskiego, Zorrilli, Kisielewskiego, Beaty Libery, Topassa, w dalszej części aktualny „Przegląd" i „Sprawozdania".

SFINKS za październik posiada bardzo zajmującą zawartość. Na pierwszy plan wybija się J. Ochorowicza rozprawa: Jak powstały pierwiastki? W. Jankowski podaje kilka notatek o Mickiewiczu, P. Ettinger wymienia artystów polskich w „Ecole des beaux-arts" w Paryżu od r. 1758—1813. między którymi pod datą listopada 1769 r. znajdujemy Tadeusza Kościuszkę, ucznia klasy malarskiej, protegowanego przez p. Cochin, ks. Czartoryskiego i markiza de Marigny. Uzupełniają zeszyt utwory oryginalne Eljana i L. Romockiego, przekłady, przeglądy i sprawozdania.

*) Por. Kwart. historyczny 1911 II, Kościuszko i Litwini 1806—7.

SILVA RERUM.

AKCYA W SPRAWIE CHEŁMSZCZYZNY weszła nareszcie w naszym kraju na właściwe tory. Ujęły ją energicznie w swoje ręce z jednej strony Polskie stronnictwo postępowe, które rozwinęło żywą działalność w miastach, z drugiej zawiązany przez frondę ludowcową komitet chełmski, pracujący na terenie wiejskim. Pierwszy z szeregu wieców, urządzanych przez Polskie stronnictwo postępowe w miastach prowincyonalnych, odbył się ubiegłej niedzieli w Jarosławiu przy tłumnym udziale uczestników, Zagaił wiec prezes jarosławskiego komitetu miejscowego P. S. P., mecenas dr. Jonas — na przewodniczących powołani zostali dyrektor gazowni, Matzke i prezes „Gwiazdy", Malinowski, a na sekretarzy prof. Kiniarski i p. Weigel. Referaty o sprawie chełmskiej, oraz o stosunku do niej naszego kraju i Koła polskiego we Wiedniu wygłosili: red. Laskownicki i poseł Śliwiński. Zgromadzeni wśród zapału uchwalili rezolucye z protestem przeciw nowemu gwałtowi caratu, z wezwaniem wiedeńskiego Koła polskiego do wdrożenia odpowiedniej akcyi, z wyrażeniem czci, hołdu i podziwu męczenników w Chełmszczyźnie i na Podlasiu za ich bohaterski opór, oraz przekonania, że cała Polska stanie przy nich, aby ich wesprzeć nietylko słowem, ale i czynem w ciężkiej walce, jaka ich niewątpliwie czeka w obronie ideałów religijnych i narodowych

Wiec jarosławski był wspaniałą manifestacyą obudzonego z długoletniego uspienia poczucia narodowego. Podobne, niezmiernie pożądane, wiece mają się wkrótce odbyć także w innych miastach Galicyi.

Na dzień 26. b. m. zapowiada Komitet chełmski szereg (około 100) wieców ludowych po wsiach.

Ogromnie pocieszającym objawem w tej akcyi jest silne ożywienie myśli niepodległościowej, którą, zwłaszcza w ostatnim lat dziesiątku, tak skutecznie tłumiły rozmaite „narodowe" czynniki, topiąc ją w bagnistych mętach trójlojalizmu i polityki ugodowej we wszystkich trzech zaborach. Wstaje na nowo i woła o prawo do życia polska myśl rewolucyjna, która przyświecała wszystkim w Polsce bojownikom wolności.

NOWI MINISTROWIE. Pan Wacław Zaleski objął trzecią z kolei tekę. Zupełnie jak w teatrze maryonetek. Jeżeli rzecz pójdzie dalej w tem samem tempie, jest wszelka nadzieja, że do dwuch lat przespaceruje się przez wszystkie ministerya i zacznie da capo; jako najbieglejszy obieżysas spraw społeczno-politycznych monarchii austryackiej. Pomarli na świecie dobrzy humoryści, a szkoda, bo mieliby temat nieporównany. Najosobliwszym w całej tej marszparadzie jest zachwyt gazeciarzy nad przymiotami rodaka — no i dobry humor samego pana ministra, który nie ocenia widocznie gloryi śmieszności, w jakiej pokazuje się publiczności co kilka tygodni. Jest w tem zasada. Konserwatyści nasi mają — jak wiadomo — talent do wszystkiego, a co najmniej do wszystkiego są urodzeni. Całkiem tak samo, jak pierwszy lepszy isprawnik rosyjski. Każesz, to i w panamara się zabawi. Dlaczegoż by głowa ich widoma w dzisiejszym gabinecie austryackim nie mogła się na wszystkiem rozumieć. Grunt, aby spodnie przystawały do łydek, a piróg do czaszki. *Mundus vult decipi, ergo decipiatur*.

Pan Długosz, nowy minister dla Galicyi, jest w całem słowa znaczeniu *homo novus*. Powiadają, że był ludowcem. Wiadomo także, że posiadał dużo energii i umiał zdobyć wcale obfitą życiową niezależność. Byłby to rys sympatyczny. Kto pracował jako robotnik, ten zna ludzkie troski i kłopoty, potrafi uszanować pracę i nie da się wziąć na lep pierwszemu lepszemu pochlebstwu, pierwszej lepszej intrydze. W życiu publicznem i narodowem nie dał się dotąd poznać z żadnej strony. Mimo marki partyjnej był i pod tym względem nieznaną zagadką. Od niego samego teraz zależy, czy pokaże się dobrym obywatelem i dobrym demokratą, czy też gazety zapiszą jedno tylko więcej nazwisko ministra, a sam pan minister z dni chwały i sławy zostawi, jako całe wspomnienie, frak szamerowany w garderobie rodzinnej. Witamy p. Długosza bez uprzedzeń i życzymy mu jak najlepiej. Nie możemy wprawdzie utaić pewnego niedowierzania, ale bylibyśmy szczerze zadowoleni, gdybyśmy mogli niezadługo powiedzieć: oto dobry obywatel, który dorósł do swojego zadania.

OFICYNY WSZECHPOLSKIE wpadły w ucieszną zgryzotę. Nie mogąc doszukać się ani cienia śladu jakiegokolwiek pożytku u swoich przedstawicieli parlamentarnych, rozpłakały się nad wydawcami naszego pisma i „ni przyszył ni przyłatał" wypisują o nich anegdoty. Między innemi krytykują, że jeden z nich jest szlachcicem. Niebywały tupet ochlokratyczny u panów wszechpolaków. Panowie ci pojąć nie mogą, że i szlachcic może być demokratą, gdy tymczasem ludzie pochodzenia nieszlacheckiego mogą być najskrajniejszymi reakcyonistami, jak się to przydarzyło sporej paczce u panów z wszechpolakieryi. I skąd dalej ta pewność okrutna, że od wstąpienia wydawców naszych do Koła polskiego nie nastała „nowa epoka w życiu parlamentarnem". Ej, panowie wszechpolacy, nie przyniósł nowej epoki On IV, ani spadkobierca spuścizny nieboszczyka ks. prałata, ani nikt niktusieńki inny z waszych geniuszów. Była reakcya, jak dawniej i chwytanie synekur. Posłowie Polskiego Stronnictwa Postępowego przynieśli coś, czego wy pojąć nawet nie umiecie, przynieśli otwartość i uczciwość. I jest to naprawdę nowa epoka dla was, mości panowie. Już ją dojrzeliście i stąd wasz gniew tłumiony i nieprzyzwoite napaści, na kt óre jedyna odpowiedź: *guarda e passa!* Nic wam gniew wasz nie pomoże, bo zwolennicy „dwugłowej" — jak ją nazywacie — demokracyi bawią się najwyborniej waszem komedyanckiem niezadowoleniem.

Z TEATRU. (WZNOWIENIE „KRAKOWIAKÓW I GÓRALI" J. N. KAMI.\SKIEGO). Po „Barbarze Radziwiłłównej" Al. Felińskiego, której wznowienie wykazało, że tak kierownictwo, jak niektórzy artyści nie zrozumieli zadania i trudności, związanych z odtworzeniem tej klasycznej tragedyi, jako szóste przedstawienie z cyklu dramatu polskiego ujrzeliśmy „Zabobon, czyli Krakowiacy i Górali" Kamińskiego. Wystawienie tej opery narodowej po części zrehabilitowało niedawno ujawnioną nieudolność kierownictwa. Akt pierwszy stworzyli artyści, jako śliczną całość; scena ukazania się i tańca górali dała jak najpochlebniejsze świadectwo o pracy reżysera. Cała reprezentacya, dzięki doskonale zharmonizowanym staraniom sił dramatu, opery, operetki, baletu i orkiestry, wolna od zarzutów. Sceny zbiorowe cechowało prawdziwe życie i temperament. Wesołość rychło przeniosła się na drugą stronę rampy i publiczność, nie tając swych sympatyi, głośno wyrażała je dla sztuki i dla artystów, z których rzetelnie na poklask zasłużyli: pp. Nowacki (Bardos), Feldman (Miechodmuch), Ratschka (Ekonom), Dobrzańska (Zosia) i inni.

Z RAPTULARZA.

NOWI MINISTROWIE AUSTRYACCY. W ministeryum hr. Stürkha zaszły ważne zmiany osobiste. Ustąpił min. finansów, Mayer, a miejsce jego zajął min.-rodak, Zaleski. W miejsce Zaleskiego został ministrem Galicyi Długosz. Tękę tę ofiarowano ludowcom, którzy chcieli wręczyć ją zrazu Kędziorowi, który, rzecz niebywała, odmówił, potem Wróblowi, którego znów nie chciały „decydujące czynniki". Wobec tego padł wybór na ministra *salf made man* Długosza. Ministerstwo rolnictwa otrzymał równocześnie Czech, Braf.

W RZESZY odbyły się w ostatnich czasach liczne wybory sejmowe, mające symptomatyczne znaczenie ze względu na wybory parlamentarne, rozpisane na 12 stycznia 1912.

W Alzacyi, gdzie liberali zawarli sojusz z socyalistami przeciw centrowcom i nacyonalistom porobiły partye postępowe pewne postępy, ale nie tak wielkie, aby klerykalną większość usunąć. Całą stratę ponieśli nacyonaliści.

Wybory czeskie wzmocniły znacznie socyalistów, wolnomyślnych i związek chłopski, kosztem nacyonalliberałów, antysemitów i centrum.

W szwarcburskiem pokonali socyaliści partye burżuazyjne i uzyskali absolutną większość w sejmie.

W Bawaryi z powodu reakcyjnych zapędów większości centrowej musiał rząd rozwiązać sejm. Wybory odbędą się w lutym.

STOSUNKI DYPLOMATYCZNE między Persyą a Rosyą zerwane, ale wojna nie zaczęta. Rosya odwołała się do interwencyi W. Brytanii i rzeczywiście niektóre czynniki angielskie zdają się przeć do poparcia zagrożonego w swoim bycie narodu. Jest rzeczą wątpliwą, aby carat odważył się najechać Persyę wbrew woli Anglii, o ile by ta we własnym interesie, ujęła się szczerze za Persyą.

WOJNA WŁOSKO-TURECKA coraz wyraźniej przechodzi w stadyum chroniczne. Na całym wybrzeżu tureckiej Afryki trzymają się Włosi, którzy skoncentrowali już całe dwa korpusy i wciąż otrzymują posiłki, defensywy. Nagłe deszcze i wylewy zniszczyły ich oszańcowanie pod Trypolisem, dzięki czemu udało się Turkom odbić powtórnie źródła Bumeliany.

Cholera zmniejszyła się. Na akcyę morską na morzu egejskiem nie zdecydowały się dotąd Włochy, choć ten „ciąg rozpaczy" zdaje się prawdopodobnym. Turcya czyni energiczne przygotowania obronne.

NOWE KSIĄZKI.

KUKIEL DR. MARYAN: Dzieje oręża polskiego w epoce Napoleońskiej. Nakładem Z. Rzepeckiego w Poznaniu, 1912.

ŻEROMSKI STEFAN: O przyszłość Rapperswilu. Nakładem wydawnictwa „Życie“ w Krakowie.

HAHN DR. WIKTOR: Rok Słowackiego. Księga pamiątkowa obchodów urządzonych ku czci poety w r. 1909. Nakładem Komitetu obchodu 100-nej rocznicy urodzin poety. Czysty dochód przeznaczony na budowę pomnika Słowackiego we Lwowie.

SIEROSZEWSKI WACŁAW: Bajka o Żelaznym Wilku. Z rycinami i winietą okładkową Jana Rembowskiego. Nakładem „Książki“ w Krakowie.

RADZIWIŁŁOWICZ R.: Zagadnienia psychologii. Nakładem „Książki“ w Krakowie.

ALBINOWSKA J.: Oszczędna gosposia. Nakładem „Macierzy polskiej“ we Lwowie.

FROŃ J.: Ogród warzywny. Nakładem „Macierzy polskiej“ we Lwowie.

„ŻYCIE“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polsklego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Nakładem Spółki wydawniczej.

Redaktor odpowiedzialny: Aleksander Nawrocki.

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO“. LWÓW, KRZYWA 8. — KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.